

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 11 sierpnia 1946 r.

Nr. 31 (37)

Wojciech Kętrzyński

ZMARNOWAĆ POKOLENIE?

CENZUS POLITYCZNY A CENZUS INTELIGENCJI

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że źle się dzieje na odcinku inteligencji polskiej. Zostawmy więc na boku liczne obecnie teoretyczne rozważania, a zajmijmy się praktyczną, aktualną stroną problemu.

Niezależnie od wszelkich naukowych definicji, niezależnie od społecznej i historycznej genealogii — jest inteligencja żywą i istotną częścią każdego społeczeństwa, wpływającą poważnie na jego losy, urabiającą jego pojęcia, jest jego mózgiem. Naród, bez rozwiniętej zdrowo warstwy inteligencji, nie jest w stanie wybić się ponad najpierwotniejsze formy istnienia. Bez zdrowej elity intelektualnej żaden naród nie może posiadać nowoczesnych form życia państwowego.

Czy jednak w Polsce, w chwili obecnej warstwa ta rozwija się normalnie, czy stosunki panujące na tym odcinku są zdrowe?

Inteligencja była w Polsce warstwą słabą, płytko zakorzenioną, jednostronnie rozwiniętą. Liczne wojny i powstania przetrzebiły jej szeregi. W ostatnich zmaganiach przejęła ona na siebie olbrzymi ciężar walki i poniosła też największe ofiary. Wydawać by się mogło, że od pierwszej chwili odbudowy zostanie zrobione wszystko, by wrócić jej normalne warunki rozwoju i zapewnić jej całkowity udział w życiu społecznym.

Tymczasem obserwujemy zjawiska niepokojące. Masy inteligencji pozostają nie tylko bierne i zniechęcone, lecz robią wrażenie warstwy poza nawiasem życia społecznego, warstwy zbędnej. Co jest przyczyną takiego stanu rzeczy i czy istotnie inteligencja przestaje dziś być narodowi potrzebna?

Bez wątplenia życie idzie naprzód i przewartościowuje pojęcia nawet najbardziej trwałe. Był czas, gdy o możliwości odgrywania poważniejszej roli społecznej decydowało urodzenie. Kto nie był „urodzonym”, to znaczy szlachcicem, ten nie miał dostępu do źródeł kultury, ani do urzędów, ani do wpływów. Jeśli mimo tego wybijał się czasem ponad przeciętność, to tylko za cenę służenia sprawie klasy uprzywilejowanej. Był czas, gdy kwalifikacją do życia publicznego były posiadane pieniądze. Te czasy minęły dawno. Był czas jednak, i to nie tak odległy, gdy o działalności publicznej decydowało wykształcenie. Do sprawowania wielu funkcji publicznych, nawet do prawa zabierania głosu w wielu wypadkach, trzeba było się wykazać pewnym, dosyć zresztą wysokim minimum wykształcenia.

Wbrew twierdzeniom wielu dyletantów, ustrój społeczny nie powstaje tylko drogą nacisków tych warstw, których interesom wydaje się służyć. Powstaje on przede wszystkim drogą powolnej ewolucji poprzez nagromadzenie się społecznego doświadczenia. Cenzus inteligencji nie był więc tylko wynalazkiem klasy uprzywilejowanej, pragnącej bronić swoich interesów, lecz powstał drogą postępu, drogą do skonalenia się wewnętrznych form życia społecznego. Wszak właśnie o społeczne znaczenie wykształcenia walczyły środowiska postępowe, widząc w tym rękojmię demokracji, wszak właśnie czołowy przedstawiciel reakcji, car Mikołaj I, ograniczył dostęp do szkół i uniwersytetów, widząc w tym metodę walki z prądami postępu.

Dziś pozory wszelkie wskazują że nowa rzeczywistość obala ową wywalczoną niedługo pozycję cenzusu inteligencji, odrzucając jako reakcyjny przeżytek kwalifi-

kowanie ludzi w ich publicznej działalności na podstawie osiągniętego wykształcenia. Powierzchni patrząc na współczesne życie wydawać by się mogło, że wykształcenie straciło całkowicie swe znaczenie społeczne, że stało się tylko kwalifikacją fachowo - zarobkową, przestało zaś być kwalifikacją w życiu publicznym.

Istnienie cenzusu wykształcenia w życiu publicznym było dotychczas uważane za wielkie osiągnięcie kulturalne, było też gwarancją przyznania pierwiastkowi intelektualnemu należytej roli w życiu społecznym. Ostatni okres przyniósł fakty, któreby pozwalały przypuszczać, że dokonywująca się rewolucja łamie ustalony porządek i obalając cenzus inteligencji, występuje przeciw inteligentowi.

Jakkolwiek znane są wszystkie zastrzeżenia, poczynione przez ludzi kierujących w tej chwili tą dziedziną życia, odzegnujące się od chęci obalenia społecznej roli inteligencji i wykształcenia, to jednak rozbieżność pomiędzy słowem a życiem budzi najpoważniejszy niepokój o przyszłość.

O PRYMAT RACJI STANU

Sprawa jest bardzo prosta. Wśród olbrzymiej większości inteligencji współ-

czesnej, o stosunku do wszystkiego, co się dzieje obecnie, do nowych prądów politycznych, społecznych, nawet do zagadnień światopoglądowych, decyduje właśnie owa obawa przed dewaluacją tych wartości, które bądź co bądź warunkują wogóle istnienie każdej elity intelektualnej. Jeśli bowiem ktoś poświęci kilka-nastę lat życia, dużo wysiłku i sporo środków materialnych, by osiągnąć pewien poziom intelektualny, a potem stwierdza, że nowy układ stosunków społecznych przekreśla wartość jego wysiłków, to staje się siłą faktów przeciwnikiem tego układu.

Stoimy wobec niezmiernie trudnego problemu. Na odcinku „cenzusu intelektualnego” bowiem ścierają się dwa wielkie procesy społeczne, tworząc mnóstwo sprzeczności i zdrażnień.

Trzeba bowiem sobie uprzytomnić, że idący od dołu prąd, zrywający tamy brońące inteligencji, jako nielicznej kasty uprzywilejowanych, jest nie tylko wyrazem sprawiedliwości społecznej, ale jest dla Polski koniecznością dziejową. Przykład Rosji carskiej niech będzie ostrzeżeniem, czym się kończy układ społeczny, w którym istnieje mur nie do przebycia po-

między nieliczną elitą a niewykształconymi, niewolniczymi masami.

Z drugiej jednak strony trzeba stwierdzić, że nie, ale to absolutnie nie nie uprawnia dziś do rezygnowania z istniejącej w tej chwili elity umysłowej polskiej. Ani jej pochodzenie, ani zróżniczkowanie polityczne, ani specyficzna psychika nie są argumentami dla pozostawienia poza nawiasem życia publicznego warstwy, której rola w chwili obecnej jest zasadnicza, a patriotyzm wypróbowany.

Rzecz prosta, to stwierdzenie w niczym nie wyklucza istnienia płaszczyzn tarcia. Chodzi jednak o to, by świadomie dążyć do ich zmniejszania, nie zaś powiększania.

Istnieje oczywisty konflikt klasowy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w dotychczasowym systemie społecznym prawo do wykształcenia, a więc i prawo do awansu społecznego uzależnione było praktycznie od osobistych środków majątkowych. Ludzie biedni tylko wyjątkowo mogli dać swoim dzieciom pełne wykształcenie. W zasadzie szanse na otrzymanie pełnego wykształcenia zamykały się w granicach samej inteligencji. Syn robotnika, czy syn chłopca nie miał obiektywnie warunków dla studiów. Ten układ rzeczy sprzeczny zresztą z elementarnymi interesami samej inteligencji polskiej, która zawsze cierpiała na nadmierny ubytek, a zbyt mały dopływ świeżej krwi musiał pobudzić do daleko idących antagonizmów klasowych. Dziś więc wobec zmienionych warunków społecznych nowe środowiska i nowe klasy prą ku uprawnieniom i przywilejom im dawniej niedostępnym.

Gdy inteligent przez odruch klasowego egoizmu broni się przed napływem świeżych sił, wówczas jest w błędzie. Odruch ten należy tępić. Jeśli jednak odwrotnie, jak się to często dzieje, proces rozszerzania bazy społecznej inteligencji ma się odbywać kosztem zasadniczego obniżenia jej poziomu, kosztem produkowania mało wartościowej namiastki i dyskwalifikowania starych kadr, to mamy do czynienia ze zjawiskiem jawnie szkodliwym.

W grę tu przeważnie wchodzi inny czynnik nie społeczny, ale polityczny. Środowiska dążące do władzy nie mogą zapomnieć, że w swej obecnej większości obecna elita intelektualna wywodzi się z innego obozu. Odczuwając potrzebę posiadania własnej i wiernej elity intelektualnej środowiska te wykazują skłonność do popierania rozwoju nowych sił intelektualnych, bardziej dbając o ich ilość, niż o ich jakość, gotowe zawsze, dla doraźnych celów poświęcać interesy „starej” elity na rzecz „nowej”. Tą drogą, do naturalnego konfliktu społecznego dołącza się jeszcze drugi — polityczny. Z konieczności rzeczy cenzus polityczny bierze górę nad cenzusem inteligencji, a konflikty nabierają jaskrawszych barw, gdyż angażują najbardziej żywotne interesy stron. Trzeba tu podkreślić zasadniczy błąd sztucznego podziału na „starą” i „nową” elitę, przeciwstawiania sobie dwóch elementów, mających się uzupełniać, a nie zwalczać.

Ponad wszelkimi konfliktami, tak społecznymi, jak i politycznymi stoi jednak racja stanu narodu polskiego. Na jej najwyższy autorytet trzeba się powoływać, jeśli się chce znaleźć rozwiązanie trudnego problemu przyszłości naszej elity intelektualnej. A rozwiązanie musi się znaleźć!

Racja stanu, to interes narodu, jako całości, tak historycznej, jak i społecznej.

Aleksander Scibor-Rylski

Mogiły w bunkrach

Gdy w piwnicach bezwargie uciekające widma —
cegieł szelestny stos
w spalonych izbach —
gdy na blasze — czająco — księżyc, jak srebrna glizda —
— w Warszawie noc.
Spod czarnego betonu — rok pogrzebane ślepia;
w oczach — jak pajak — gruz...
I z dna się czepia
krzyk — do dziś nie słyszany — który w gardzielach przepadł
z rozwartych ust...
Właśnie wtedy łączniczka w poprzestrzelanej; bluzie
pchnie kanałowy właz
i znakiem zbudzi
ciche dwieście tysięcy zakamieniałych ludzi
i zwoła wraz,
— Kompaniami — hej, zbiórka! — — — Z poczty, Starówki, Woji...
— Dwuzereg w lewo front! —
i — do dwóch odlicz! —
Drużynami jak z bunkrów — z już zapomnianych mogił —
znów wszyscy są!
W czarnych nawach Starówki, niczym w katedrze biskup —
wobec umarłych rzesz
na czołgu zgłiszczu
miast pełnego ołtarza — świętokrzyżowy Chrystus
odprawia mszę.
W zakrwawionych beretach oficerowie — chłopcy:
— Batalion — w prawo — patrz!!! —
Sennie łopocą
miast sztandarów bandaże, zabarwione w posoce,
miast hymnów — płacz.
Potem Zygmunt kamienny komenderuje przegląd,
pałaszem czyniąc gest.
A gwiazdy bledną
ponad PASTA — trybuną pisząc na niebie jдно:
— Warszawa jest.
Roztrzaskane kaemy, piaty i pistolety,
przez sukno stukot stóp.
Na rogu Freta
rozstrzelany gazeciarz wysprzedaje Biuletyn
z dziurami kul —
I bezpalczaste ręce dwustutysięcznej masy,
zawisłe dziś znów
jak do oklasku —
z Zieleniaka, Powiśla i bieląńskiego lasu:
— — Zygmuncie — mów!
I tak kłębi się w murach porą szaleńczą, nocną,
zamarły głucho chór:
By, w czterech zgłoskach,
ktoś zmarszczony dokończył tamten przerwany rozkaz:
— Plutony — szturm!!!

Interes ten wymaga w chwili obecnej od Polski największej solidarności i wydajności pracy nad podniesieniem kraju z ruiny, tak fizycznej, jak i moralnej.

Ta racja stanu wymaga dziś całkowitego uaktywnienia polskiego potencjału umysłowego. To zaś jest możliwe tylko drogą uzgodnienia interesów nowych i starych kadr inteligencji, ich harmonijnego współdziałania. Trzeba na tym odcinku odrzucić wszelkie doktrynerstwo, odsunąć w cień względy polityczne.

POMIĘDZY DOKTRYNĄ A RZECZYWISTOŚCIĄ

Ogłoszona została bowiem zasada, że wykształcenie jest publiczne i bezpłatne. Stąd wniosek prosty, że z momentem wprowadzenia w życie ustawy każdy, posiadający odpowiednie kwalifikacje umysłowe, powinien móc otrzymać pełne wykształcenie. Z tą chwilą teoretycznie walka przeciwko cenzusowi naukowemu przestaje mieć podstawy moralne i społeczne. Tymczasem jednocześnie z tezą o publicznym i bezpłatnym wykształceniu dokonano szeregu posunięć, sprowadzających się w rzeczywistości do całkowitego zniesienia cenzusu naukowego, jako kwalifikacji społecznej. Zniesiono cenzus w wojsku, uniezależniając stopnie wojskowe od posiadanego wykształcenia, wprowadzono kursy specjalne, kwalifikujące do zajmowania odpowiedzialnych stanowisk w sądownictwie, niezależnie od posiadanego wykształcenia prawniczego. Na stanowiskach publicznych nie są wymagane żadne określone kwalifikacje intelektualne. Wreszcie — stworzono faktyczny dostęp do wyższych uczelni z pominięciem pewnego wykształcenia średniego. Istnieje więc oczywista sprzeczność pomiędzy zasadą publicznego i bezpłatnego nauczania, a faktycznym zniesieniem cenzusu naukowego.

Byłoby oczywistą demagogią niedostrzegać wielorakich przyczyn, które na powstawanie tych sprzeczności wpływają. Bezpłatne nauczanie jest jeszcze dziś fikcją i wiele jeszcze czasu upłynie nim państwo będzie w stanie całkowicie utrzymywać nauczycieli, inwestować w remonty i rozbudowę szkół, łożyć na inwentarz, pomoce szkolne, opał i wiele innych wydatków.

Z drugiej strony wzmożone zapotrzebowanie we wszystkich dziedzinach życia na wykształconych i wykwalifikowanych inteligentów zmusza do wzmożenia tempa rozwoju kadr inteligencji, choćby nawet kosztem czasowego obniżenia jej poziomu, niezależnie od wszelkich politycznych pobudek.

To są argumenty zrozumiałe dla wszystkich.

Czy jednak zrobiono wszystko, by na dać tym posunięciom charakter tymczasowy, by nie obniżyć autorytetu wykształcenia, nie zdewaluować nauki i studiów?

Co zrobiono, by zachować należyłą pozycję społeczną tych, którzy kosztem często najwyższych ofiar zdobywali szczebel po szczeblu pełne wykształcenie?

Nic bowiem nie usprawiedliwia, by rozszerzenie podstawy społecznej naszej elity intelektualnej miało się odbyć kosztem zmarowania całego dotychczasowego dorobku w tej dziedzinie i stracenia faktycznego całej warstwy „starej” inteligencji. Gdy jednak weźmiemy pod uwagę, że ten, kto zdobywa wykształcenie, ma poczucie, że niepotrzebnie w nie tyle pracy włożył, że stanowiska jemu należne zajmą inni bez kwalifikacji intelektualnych dostatecznych, gdy cenzus naukowy traci swą wagę społeczną, to cóż się dziwić, że większość ludzi z cenzusem zapełnia szeregi malkontentów?

Dotyczy to przede wszystkim młodzieży, której reakcje są zawsze silniejsze i bardziej ekstremistyczne. Polityka uprawiana obecnie na tym odcinku prowadzi prostrą drogą do zmarowania tego elementu. Jest nieprawdą, że młodzież inteligentka jest w Polsce antyspołeczna, czy reakcyjna. Niezależnie od farby poglądów wykazywała zawsze nie tylko gorące pa-

Zbyszko Bednorz

Zamyślenie

Wojna — ponure tyranstwo baraków
Pokój — mieszkam wśród swoich jasnych ścian.

Wojna — nie wiem w czym tkwi ów jakiś patos
Pokój — żony mej poważny stan.

Wojna — o śmierć lub zwycięstwo, o los świata
Pokój — mam tysiąc drobnych głupich spraw.

Wojna — człowieka cień na zimnych kratkach
Pokój — w słotę pogoda na mych dniach.

Wojna — każde życie sztandarem na wietrze
Pokój — sztandarów nie grzebać w piach.

Wojna — bombami skandowane wiersze
Pokój — w wierszach słowa czytane na wspak.

Wojna — z historią wedruję na gapę
Pokój — o pustych tramwajach mit.

Wojna — kultura shańbiona gestapem
Pokój — czy bracie, pokoju ci wstyd.

triotyzm, ale nawet i daleko posunięty radykalizm społeczny. Jeśli dziś faktycznie zatracą go, to jest wynikiem — trzeba to stwierdzić obiektywnie — sytuacji, w jakiej się znalazła.

Doceniamy w całej pełni wagę założeń reformy systemu wykształcenia. Jesteśmy całkowicie przekonani o gwałtownej po-

trzebie rozszerzenia bazy społecznej naszej inteligencji. Trzeba przełamać resztki kastowości, gnieźdzącej się jeszcze gdzieś niedługo. Trzeba też sobie uświadomić, że posiadamy w stosunku do aktualnych potrzeb narodu o wiele za mały zasób sił intelektualnych, że są one jałowe i biologicznie wyczerpane.

Izabella Lutosławska-Wolikowska

Zasady demokratyczne organizacji spółdzielczej (2)

Zaczynam od sprawy zupełnie napozór błahej, ale która mnie, przez całe pięć lat, doprowadzała do pewnego rodzaju dźwiękowych katuszy. Gatunek to cierpień mało rozpowszechniony, właściwy ludziom fanatycznie kochającym język polski. Polega na błyskawicznym, wyostrzonym reagowaniu na fałsz ligwistyczny, tak dotkliwym jakby to było fałszowanie muzyczne.

Spółem — to potężne kadry, ideowe. Trzeba było w te lata straszliwego ucisku, jeździć po całym kraju, jak ja jeździłam, wysyłana z centrali na zjazdy, zebrania, kursy, szkolenia — by zdać sobie w pełni sprawę z tego niewyczerpanego bogactwa, jakie stanowi — głównie na wsi — materiał ludzki, wrznięty do browolnię do dzieła reformy społecznej. I do zadań na terenie ekonomicznym, przeprowadzanych sprężysto, precyzyjnie, odpowiedzialnie. Właśnie ludzie, typ człowieka kształtującego się samodzielnie w kierunku wyznawanych zasad, ciągnął mnie swą czystością intencji i siłą uczuć gromadnych — ciągnął więcej jeszcze od samego systemu. Spółem — w mych wędrówkach po zapadłych wsiach, osadach, miasteczkach.

I oto przyczepiono nagle dopiero podczas okupacji do tej wspaniałej instytucji — przymiotnik „społemowski”. Wieg: „koc społemowski”, „dżem społemowski”, „garnek społemowski” no, i — „ideał społemowski”...

A ten przymiotnik jest — barbaryzmem. Wygląda jakby pochodził od miejscowości Społemów! Jak Skolimów — Skolimowski. A Społem, to jest wyraz określający postawę instytucji, wspólność, nie zaś miejsce, pozatem, „Społem” jest przysłówkiem — na to nikt już nie poradzi! Utworzony jest od rdzenia: spół występującego w obocznościach, spół — spół (wspólny, spółka, zespół). Ten śliczny przysówek posiada przyrostek em, może przez analogię do przysówek: „czołem”, „kołem”.

Przymiotnik, odnoszący się do instytucji, noszącej nazwę Społem winien być utworzony od rdzenia wyrazu, a więc „społowy”, (jak kołowy, czołowy), a nigdy — społemowski. Jak nikt nie śmie powiedzieć np. „to jest organ czołemowski partii”, tylko: „to jest organ czołowy partii”.

Nie należy łączyć i to tak nagminnie, pietyzmu wobec ideału reprezentowanego w Społem z dróbnym, ale uporeczywym i notorycznym — nieuctwem.

Tu kończy się nawias.

Przechodźmy do sprawy. Mówione było w poprzednim rozdziale, że zasada demokratyczna wymaga, aby prawa posiadał każdy, aby nikt nie korzystał wyłącznie z przywilejów bogactwa i aby rządy spoczywały w ręku większości.

Występujemy więc w obronie istotnej treści i istotnej wartości reformy wykształcenia.

Wiemy, że wobec przeróżnych sprzeczności i trudności, przeżywanych przez naszą młodą państwowość, nie ma rozwiązań idealnych. Absolutnie nie chcemy nawoływać, by w imię interesów jednej warstwy poświęcać inne. Stwierdzamy tylko, że bez uzgodnienia tych interesów żadne reformy nie dadzą pozytywnych rezultatów. Uzgodnienie to zaś musi nastąpić na dwóch płaszczyznach. Z jednej strony konieczne jest przywrócenie właściwego znaczenia społecznego cenzusowi wykształcenia tak przez maksymalne podciąganie intelektualne nowych kadr inteligencji, jak przez zapewnienie starym sprawiedliwego startu. Z drugiej strony — konieczne jest zrezygnowanie w imię interesu narodowego z nadmiernej apodyktyczności politycznej. Nie ma i nie może być założeń politycznych absolutnych. Jeśli mamy budować, a nie niszczyć, musimy stworzyć warunki, w których teorię można będzie pogodzić z życiem. Życie zaś wymaga, by warstwa intelektualna w Polsce miała możliwość swobodnego rozwoju i swobodnego budowania własnych koncepcji. Tylko w ramach takiego porządku odbudowujące się z takim trudem życie społeczne w Polsce nabierze cech trwałości.

Wojciech Kętrzyński

W życiu jednak zasada ta może łatwo prowadzić na bezdroża, o ile na jej straży nie stoją praktyczne urządzenia, które umożliwiają prawdziwą, a nie pozorną, kontrolę ogółu. Łatwo się bowiem zdarzyć może, że jednostka zdolna i ambitna zapanuje nad masami członków, że rządzić będzie tak, jak jej się podoba, bez względu na dobro publiczne, ośniewając tłumy naprzykład darem wymowy, a ukrywając przed ich wzrokiem istotną treść swej gospodarki.

Wiadomo, że tłum — to ciężka i druzgocąca nieraz maszyna. Pozbawiony jest świadomej woli, najdobitniej to stwierdzamy w momentach rewolucyjnych, czy przy w pogromach. Tłum — rządzić nie może. A zebrania ogólne stowarzyszeń spółdzielczych, liczących tysiące członków — mogą się nietrudno przerodzić w zebrania właśnie — tłumy. Na uczuciach tłumy można zagrać i przez to skłonić go do posłuszeństwa. Rządy tłumy wychodzą na korzyść przeważnie ambitnym jednostkom i przegradzają się w despotyczne rządy jednostek.

To oczywiście już nie jest demokracja, tylko jest demagogia.

Prawdziwy demokratyzm, którego kryształowym wyrazem jest reformatorstwo spółdzielcze, wymaga świadomego udziału w rządach instytucji, możliwie szerokich warstw; wymaga, aby jaknajwiększa ilość jednostek była świadoma potrzeb publicznych: korzystała ze swych praw, aby dobru publicznemu zapewnić zwycięstwo nad prywatnym interesem, tam, gdzie one są sprzeczne.

Żeby więc zapobiec niebezpieczeństwom, wynikającym z surowego stosowania czystych zasad demokratyzmu, takich jak „prawo człowieka” i „rządy większości”, trzeba pewnych praktycznych urządzeń, które kontrolę ogółu nad kierunkiem spraw stowarzyszenia czynią istotną, a nie uludną. Jedynym środkiem do tego celu jest ograniczyć do możliwości władzę zebrania ogólnego, a dać jej jak najczęściej organom wybieranym ogół członków. Wybory stanowią do narzędzie, za pomocą którego tłum stosunkowo najlepiej wyrazić może swą wolę.

Gdy chcemy przedstawić tłumowi członków do rozstrzygnięcia jakąś sprawę zawiłą, dotyczącą działań stowarzyszenia — natrafiamy przede wszystkim, jeszcze dziś, pomimo ogromnego postępu rozwoju umysłowego, na trudność wyłumaczenia, dlaczego ma być tak, a nie inaczej i o co chodzi.

Tłum jest zawsze bardziej bezmyślny od poszczególnych jednostek — z których się składa.

Tymczasem pytanie: czy ufasz Maciejowi, czy Janowi, jest tak proste, że zawsze zostanie przez tłum zrozumiane

Dlatego każde wybory są bardziej świadomym czynem tłumy, niż głosowanie za lub przeciw jakiemuś wnioskowi rzeczowemu. Naturalnie, że i na tym terenie można tłum wyzyskać i oszukać, kazać mu wybierać kogoś, kogo nikt nie zna. Ale to już jest trudniej, bo wybory stanowią pole walki obozów i grup, które się wzajemnie skutecznie kontrolują.

W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości, że przy uczciwie przeprowadzonych wyborach można w łonie stowarzyszenia łatwo wytworzyć grupę osób, która będzie sprawiedliwie reprezentowała interesy ogółu członków.

Tą grupą są wszystkie wybieralne władze stowarzyszenia: to jest rada, komisja rewizyjna i zarząd. Tę władzę trzeba ściśle odróżnić od władzy wykonawczej.

Sama strona ściśle wykonawcza chyba każdej instytucji ekonomicznej wymaga ustroju — że tak się wyrażę — hierarchicznego. Bez tego nie ma pracy administracyjnej. W administracji państwowej — w krajach o wszelkim ustroju — na czele każdego działu stoi minister (choćby się inaczej nazywał) jako jednostka odpowiedzialna za pracę spełnianą w tych ramach, jakie jej wyznaczono. I zamęt pojęć, z punktu widzenia demokratycznego, powstaje dopiero wtedy i nadużycia szeregają się wówczas, gdy odwraca się naturalny układ odpowiedzialności i jej stosunek — mianowicie, gdy jednostka zapanuje przemożnie, nie w działach wykonawczych, ale w organach wybieranych, gdzie na straży interesu publicznego, za ten interes odpowiedzialnym nie jest nigdy jeden człowiek i być nim nie może, bo to by przekraczało cały precyzyjny system kontroli demokratycznej. Jest nim zespół: rada, komisja rewizyjna i zarząd.

Otóż osoba, która bądź własnymi rękami, bądź rękami podwładnych sobie pomocników spełnia pracę wykonawczą w instytucji spółdzielczej — musi być wynagradzana stosownie do trudności i rozmiarów tej pracy. I dlatego, że jest wynagradzana — musi ponosić pełną odpowiedzialność za swą pracę.

Mówiłabym chętnie dalej. Tak mi się samo snuje ta cała budowa reformatorska, która ma w sobie spokojną siłę spraw, pociągających człowieka wwyż. Ale czytelnik wiem, że na dziś ma już zupełnie dość.

W następnym artykule omówimy sprawę kontroli ogółu, w tym nie będzie już szarżyny protokolarnej, ani wyciągów gramatycznych. Obiecuję.

Uderzy czytelnika ów czysty blask, właściwy żywiołowym ruchom społecznym — blask, który stale rośnie, gdy ten ruch jest — twórczy.

Stanisław Jasiński

Od Łaby i Odry po Bałtyk

(Z okazji sześćsetlecia istnienia miasta Bydgoszczy)

W okresie, gdy nasze rasy plemienne poczynają się kształtować, mieliśmy wszystkie dane, aby dojrzeć na naród samodzielną, rozwijającą się między brzegiem Odry a Łabą, daleko na północ, aż do ich ujść bałtyckich.

Pierwsi Piastowie, wyrosli się nad Gopłem, mają ustawiczne sprawy nad Odrą i wogóle w kierunku na zachód.

Granica państwowych aspiracji Chrobrego biegnie przez dzisiejsze Drezno, przez Lipsk, kraj Sorabskich Łużyczanów, ku morzu.

Zwycięski, spajający miecz Krzywoustego błyska w słowiańskiej Meklemburgii, gospodarząc tam, jako w naturalnym obszarze swego władania.

Przedtysiącletnia Słowiańszczyzna zachodnia jest tak słabo jeszcze zróżnicowana językowo, że między różnymi Hawelanami, Stoderanami, Łużyczanami, a Polanami z nad Warty i Gopła niema żadnej różnicy mowy, co idzie tak daleko, że jeszcze w setki lat potem, w XVII wieku, w mieście Szczecinie, młodzież przygotowująca się do stanu duchownego i mająca pracować wśród ludności Pomorza, pobiera nauki w języku polskim.

Gdyby rozwój nasz był poszedł naturalnym torem, nie oglądalibyśmy wprawdzie nigdy Berdyczowa, ale za to byłibyśmy u siebie w domu w Berlinie. Naturalny ten jednak kierunek naszego rozwoju uległ skrzywieniu. Fala germańska w swoim ustawicznym „Drang nach Osten“ zalała nasze pierwotne siedziby zachodnie i te, które powinny były być terenem naszej najbliższej ekspansji.

Utonęła w niemieckim zalewie słowiańska niegdyś Łaba, utonęła — dziś na szczęście odzyskana — nasza polska Odra w średnim i dolnym swym biegu. Kolosalne obszary naszego plemienia drogą wynarodowienia i po części kolonizacji, zamieniły się w kraj niemiecki.

Parcie niemieckie odbywało się dwójakim sposobem: najzudem zbrojnym, jak w epoce Ottonów i Krzyżactwa — i ekspansją pokojową, protegowaną niejednokrotnie samobójczo przez samych Polaków, jak w wiekach średnich przez Piastów śląskich, lub w XVIII wieku przez wilekopolską magnaterię.

Polska, jako całość, wiedzona dobrym Bolesławowym instynktem, próbowała niejednokrotnie oprzeć się zalewowi fali germańskiej i kilka razy jej się to szczę-

śliwie udało. Dość przytoczyć tu Lokietkowię Psie Pole, pod Wrocławiem, Grunwald i wojny Kazimierza Jagiellończyka, poprzedzające pokój toruński, które skuteczniej, niż koalicja połączonych największych potęg świata w XX wieku, zahamowały na długi czas posuwanie się Niemiec na wschód.

W rezultacie jednak bilans ubiegłego tysiąclecia wykazuje olbrzymie po stronie niemieckiej zyski, olbrzymie posunięcia się na wschód, który to proces ulegał tylko czasowemu zwolnieniu wskutek takich katastrofalnych czynników, jak zwycięstwo wojny Piastów i pierwszych Jagiellonów. Rany po Grunwaldach goiły się z czasem i znowu Germania wracała do dawnego rozpędu i parła na zewnątrz, na cudze grzędy — przede wszystkim na wschód.

Kiedy w lecie 1914 roku świat cywilizowany wystąpił solidarnie do walki z Niemcami o ład i porządek ludzki w Europie, znajdowały się Niemcy u szczytu potęgi i zaborczych zachęceń. Zachęcenia te były od dawna systematycznie i celowo kultywowane — miecz poprzedzała propaganda. W programie żyjącego pokolenia niemieckiego i pokoleń następnych znajdowało się po pochłonięciu i strawieniu Meklemburga, Szczecina i Brandenbura, najbliższe terytorium od wschodu — Polska.

Były zabór pruski uważali Niemcy już za całkowicie „swoją“, za bezpowrotnie niemiecki. Wprawdzie żyła tam jeszcze ludność mówiąca po polsku, coś niby liczniejsze nieco resztki autochtonicznych „Wendów“, ale w świadomości każdego niemieckiego patrioty było to już tylko szczątki, skazane na niecofniętą zagładę, a potężny miliardami zasilany aparat państwowy miał już tylko położyć kropkę nad dziełem germanizacji zachodniej Polski i przesunięcia już nie państwowych, lecz plemiennych granic niemieckich poza Poznań.

Z kolei miał nastąpić atak świata germańskiego na dalsze części Polski, które miały podzielić los zaboru pruskiego i dawniej już zgermanizowanych krajów nadodrzańskich. Miała to być cierpliwa praca całych pokoleń, sprawa nie dziesiątków, ale nawet setek lat, lecz w świadomości przywódców nacjonalistycznych Niemiec żyła ona już dziś, jako

idea, jako program, który bez zastrzeżeń znalazł wyraz w idei Hitlera.

Cała Polska miała być zarta i przerobiona na miazgę germańską, jak zachodnie niegdyś dziedziny naszego plemienia nad Odrą i Łabą.

Już przed pierwszą wojną światową walka toczyła się na całej długości polsko-niemieckiego pogranicza, dokoła Gdańska, Grudziądza, Poznania, Opola. Bydgoszcz możemy uznać za jej skrót i symbol, gdyż w nowszych czasach może nigdzie Niemczyzna nie zrobiła tak skoncentrowanego, wszechstronnego wysiłku zdobywczego, jak w tym prapolskim Bolesławowskim niegdyś, ale i Fryderykowskim, ukochanym przez Poczdam, kraiku nad Brdą.

Drapieżny i napaśniczy duch niemiecki zgromadził tu z arsenału swego wszystkie najwymyślniejsze środki podboju i wchłaniania, wysmażone w mózgach całych pokoleń niemieckich.

Celem polityki hakatystycznej była zamiana „wschodniej marszli“ na kraj rdzennie niemiecki — z tym się ci, na swój sposób uczciwy, bo szczerzy ludzie, nie kryli. Gdybyśmy nawet uznali, że to był czczy fantom, a wzięli pod uwagę tylko „skromniejszy“ oficjalny program Prus, żeby wschodnie prowincje państwa pruskiego tak przeistoczyć narodowo, aby na jednego Polaka przypadał jeden Niemiec, to jeszcze i wtedy musimy uznać, że Niemcy założyły sobie cel ogromny.

Wielki był cel, ale i odpowiednio potężne były środki.

W walce z Polakami nie istniały żadne skrupuły, nie istniał wstyd, względy cywilizacyjne, czy najprymitywniejsza ludzkość. Nic nie było dla nowoczesnego margrabiego Gerona pracującego na wschód — zbyt drogie.

Niemcy i Prusy wyrzuciły na skolonizowanie i zniemczenie zaboru polskiego w ciągu ostatnich tylko czterdziestu lat kwotę w stosunkach przedwojennych zawrotną wysoką — miliard marek!

Pod względem godziwości i smaku u doborze środków, naród niemiecki, ucieleśniony w swoich najwybitniejszych mężach, spadł na poziom lupanarowy.

Do gorączkowo chorobliwych, a zarazem bezwstydnym pomysłom posuwano się dla wzmocnienia dzieła germanizacji.

Ozdoba nauki pruskiej, prof. Haase z Lipska, podał zupełnie serio myśl osiedlenia przez władze w prowincjach pol-

skich — dzieci nieślubnych z całego obszaru państwa niemieckiego, by tym sposobem „wzmocnić Niemczyznę“.

Na ołtarzu tej ciągle wzmocnienia potrzebującej Niemczyzny, miały dziewięć germańskie składać owoce swych zbyt gorących sentymentów.

Każda istota niemiecka, urzędnik, pedagog, przemysłowiec, kolonista, czy podryztek, była tu z Niemiec przesadzana troskliwie z nieszczędzeniem trudów, ni kosztów, jak najszlachetniejsze drzewko.

Tak było w Bydgoszczy i w innych ośrodkach naszego zachodu.

Germania walczyła tu legionami, które do tej walki zaprawiano długo i starannie.

Bohaterowie ci, którzy w krótkim czasie mieli wycisnąć z Bydgoszczy ostatniego Polaka, byli ad hoc wyhodowani, wytresowani, przez państwo wciąż mocno podpierani, ile razy im ramiona słabły.

Jakiż to element był przeciwstawiony ze strony polskiej tym niemieckim powiększycielom „swej“ ojczyzny?

Ubodzy wyrobownicy, przytuleni do kilkunastu polskich stowarzyszeń, tak samo biednych, jak i oni, bohatriska modzież, umierająca wśród zabójczej pracy na gruźlicę i siedem, klasycznych siedem inteligentnych rodzin polskich...

Po jednej stronie brutalna siła aparatu państwowego, pieniądza, gwałtu fizycznego, po drugiej najsubtelniejsza siła moralna, po jednej stronie apoplektyczny kark i stalowe bicepsy pruskiego landrata, po drugiej na pół nieziemski duch największego tu za czasów niewoli budziela i piastuna polskości, dra Edwarda Warmińskiego.

I oto ten duch promienny, duch Polski, zwyciężył w stuletnim boju na tym olbrzymim polu walki, która się rozciągała od Odry po Bałtyk.

Ze względu na szczególnie dobre skoncentrowanie się wszystkich rysów polsko-niemieckiego dramatu w mieście Bydgoszczy i w bydgoskim zakątku Polski, ze względu na to, że tu, w tej polaci naszego kraju w tak chwalebny sposób objawiła się tężyzna rasy polskiej i jej zdolność do zwycięskiego wytrzymania naporu najbardziej zdobywczej potencji świata, możemy i powinniśmy ów nieporównany sukces ducha polskiego wpisać złotymi zgłoskami do księgi dziejów na miasto, biorąc pro toto, to jedno bahterskie miasto Bydgoszcz, jako symbol zwycięstwa Polski zachodniej.

Ks. Jan Cierniewski

Katolicyzm integralny

1. Niedomagania naszego katolicyzmu i ich główna przyczyna

Pragnąc ożywić wiarę w społeczeństwie naszym i podnieść je na wyższy poziom moralny, należy przede wszystkim zapoznać się ze stanem naszego katolicyzmu.

Przed wojną światową zajmował się tą sprawą publicysta poznański Kazimierz Sołtyś, który jak charakteryzuje stan naszej religijności:

„Olbrzymia większość katolików w Polsce nie tylko błędnie pojmuję, czym jest wiara religijna, ale całokształt swego życia religijnego normuje podług systemu etycznego, który ma wprawdzie cechy wspólne z kościelnym systemem etycznym, lecz naogół jest systemem bardzo odmiennym. Religia w tym systemie reguluje życie tylko przez zakazy, brak natomiast pozytywnych obowiązków życiowych“.

„Religijność katolicka, polegająca na tym, aby ludzie pełnili praktyki religijne i nie grzeszyli, nie wystarczy do uzdrowienia świata. Zło tkwi głębiej... Etyka sakralistyczna (polegająca na przestrzeganiu praktyk religijnych i unikania grzechu) nie obejmuje i nie normuje tych dziedzin życia ludzkiego, w których tkwi główne zło dzisiejsze“.

„Niedostateczne jest takie pojmowanie religijności, w którym religią jest tylko wiara, a praktyką religijną, życiem religijnym tylko uczestnictwo w kulcie i sakramentach“ (Kultura Nr 6 z dn. 10 maja 1936 r. art. „Diagnoza“).

Głębiej i wyraźniej ujął sprawę jeden z profesorów Wszechnicy Jagiellońskiej, dr. Stefan Świeżawski, który tak pisze w swej broszurze, omawiającej gruntow-

nie stan naszego katolicyzmu: „Zatraciło się bardzo *signum specificum*, wyróżniające chrześcijan“, bo „dominantę życia moralnego ma roztropność przyrodzona, a nie miłość wraz z wiarą i nadzieją“.

„W ten sposób otacza się troską i rozwija swoje życie przyrodzone, a życie nadprzyrodzone, życie łaski, zostaje jakby leżące odłogiem. Tymczasem właśnie to życie łaski jest wyróżniającym znamieniem chrześcijanina... my nie znamy i nie rozumiemy tego daru. (Pełnia katolicyzmu w życiu osobistym i zbiorowym, Poznań, 1938, str. 9).

„Katolicyzm nasz“ — mówi dalej autor — „nie dość jest żywy, nie dość pociągający, nie wywołuje ofiarności i oddania się zupełnego“ (Tamże, str. 16).

Charakterystyczne wyznanie zrobił pod

Mirosław Ochocki

Wędrowniki wieczorne

Tak cicho. Wokół wieczór rozmodlony kłęka.

Tak cicho. Brat się z bratem dzieli glonem chleba.

Tak cicho. Łą nabrzmiewa rozmodlone niebo.

I kęs dobroci wznosi czyjaś cicha ręka.

Z lekka kładziesz na kłosałach pytające dłonie,

Pozdrawiasz ziemię kornym, przemilczanym słowem

Chciwie oplatasz sercem myśl jasną — różową

I po wstędze uśmiechu przybliżasz się do niej.

Tak cicho. Przestrzeń w chłonna pociąga cię wnęką.

Tak cicho. Wznosisz w dłoniach tę chwilę błękitną

Tak cicho. Budzisz w duszy prawdę nieuchwytną

— sam nie wiedząc o tym — wśród cichych pół kłękasz.

tym względem znany i ceniony u nas publicysta Jan Dobraczyński:

„My, tzn. katolicy, na ogół nie rozumiemy Sakramentów i uważamy je za formę, która kępuje i tak już skomplikowane życie religijne“ (Inteligencja wobec teologii. Prosto z mostu z dn. 22.I 1939 r. Nr 4).

I może dlatego właśnie powstał u nas ten nieznan i niespotykany gdzieś indziej dziwoląg: katolik niepraktykujący, całe dziesiątki lat nie przystępujący do Sakramentów, który oburza się jednak, gdy spotka się z zarzutem niereligijności.

Wszystko to — wedle mego długoletniego doświadczenia kapłańskiego — pochodzi z zapoznania Ducha Świętego i braku nabożeństwa do tej Trzeciej Osoby Boskiej, która w życiu katolika od kolebki aż do grobu odgrywa najważniejszą

rolę, bo przez Ducha Świętego poznajemy Syna Bożego, a przez Syna trafiamy do Boga Ojca. Zaniedbawszy poznanie Ducha Świętego, który pierwszy nawiedza duszę naszą przy chrzcie świętym, nie możemy już poznać należycie ani Ojca, ani Syna Bożego. — Oto przyczyna naszych niedomagani religijnych.

„Bo któż z ludzi nie wie, co jest czołowieczego, jeno duch człowieczy, który w nim jest? Tak też, co jest Bóżeśo, nikt nie poznał, jeno Duch Bóży“ (I Kor. 2. 11)...

I jeszcze jedno. Chrystus przed śmiercią powiedział:

„Przykazanie nowe daję wam, abyście się spólem miłowali, jakom ja was umiłow: i, abyście się i wy spólem miłowali“ (Jan 13. 34).

Miłość tę Chrystus wlał nam przez zesłanie nam Ducha Świętego, gdyż — jak mówi apostoł narodów — „miłość Bóża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który nam jest dany“ (Rzym. 5. 5). A więc miłość przez Ducha Świętego.

Z zapoznaniem przeto Ducha Świętego **zatracamy miłość społeczną**: nakaz Chrystusa miłowania się spólem staje się martwą literą, jak to widzimy dziś na świecie.

Pełnienie przykazania miłości społecznej wymaga od nas coraz większego zaparcia się i ofiary dlatego domaga się coraz większego współdziałania z nami Ducha Świętego, w katolicyzmie bowiem mamy dwa stopnie pełnienia przykazania miłości, choć oba pochodzą od Ducha Świętego

Ks. Jan Cierniewski

W kraju...

SPRAWA KS. WERYŃSKIEGO

PEWNE zainteresowanie wywarła podana przez „Gazetę Ludową“ wiadomość o zasuspendowaniu księdza Weryńskiego przez krakowską Kurie Metropolitalną. Według centralnego organu P.S.L. są tacy, którzy w księdzu Weryńskim chcieliby widzieć przywódcę mającego jakoby powstać postępowego stronnictwa katolików. To samo pismo wyraziło przypuszczenie, że ksiądz Weryński nie pozostanie dłużny w odpowiedzi i wyjaśni powody konfliktu.

O ile nam wiadomo ksiądz Weryński żadnego takiego oświadczenia nie ogłosił, co wydaje się najzupełniej zrozumiałe. Tego rodzaju nieporozumienia stanowią wewnętrzne sprawy Kościoła, a ksiądz Weryński widocznie swe nieporozumienie z kurją właśnie za taką wewnętrzną sprawę uważa i nie zamierza uczynić zeń odskoczni dla jakiejś akcji o bardziej ogólnym charakterze.

Tymbarzynie niesmaczne są usiłowania pewnych czynników postronnych do wykorzystania sprawy księdza Weryńskiego do siania niezdrowej sensacji i w dalszej konsekwencji do ataków na hierarchię kościelną i duchowieństwo. Takie niewłaściwe stanowisko zajęło „Życie Warszawy“. Pismo to często zajmuje się sprawą jedności narodu. Jego manewry jednak w związku z osobą księdza Weryńskiego, sprawie tej nie oddają dobrej przysługi.

REWELACJE P. NARTOWSKIEGO

W LIŚCIE do redakcji „Odrodzenia“ niejaki p. Nartowski pisze, że „ze zdumieniem“ spotyka w „pismach o zabarwieniu katolickim“ utwory, których „autorem jest pan Alfred Łaszowski“. Nie jest to żadne odkrycie. O wiele wcześniej spostrzegła to „Kuznica“ — jednakże poza dwukrotnym „zadawcipkowaniem“ na ten temat więcej już tej sprawy nie poruszyła. Sądźmy więc, że istnieją powody, dla których możemy uważać Łaszowskiego za wyleczonego z błędów młodości — o czym zresztą świadczy także to, co pisze. Errare humanum est i gdyby nie możność zawracania z błędnej drogi, nie było by ani świętych, ani też... wielu filarów „Odrodzenia“. Nie znamy bliżej sprawy p. Łaszowskiego, ale sądźmy, że jeżeli nie zostały mu postawione żadne konkretne zarzuty, to widocznie jego wina nie była taka ciężka. Tym łatwiej nam uwierzyć w jego nawrót do katolicyzmu, zwłaszcza nam, którzy znamy moc regeneracyjną katolicyzmu.

P. Nartowski wolałby, aby Łaszowski nie pisał. My uważamy, że lepiej, aby pisał, bo pisząc, pogłębia swoją odrodzoną postawę. Nie mamy zresztą zwyczaju gardzić żadnym neofityzmem.

Na koniec mała uwaga: Paweł Jasienica naprawdę nie jest Alfredem Łaszowskim. Naprawdę! Podobni są do siebie, tym tylko, że obaj piszą, obaj żyją w tej samej epoce i obaj mają nogi do samej ziemi...

ŚLUSZNA INICJATYWA „ŻYCIA WARSZAWY“

„ZYCIE Warszawy“ proponuje, aby na wzór Mediolanu, którego arcybiskup — jakoby — obkłada amatorów czarnego rynku ekskomuniką — polskie władze kościelne postępowały tak samo. Rzecz warta uwagi. Nie wiemy tylko, czy z godnie z tym projektem władze państwowe zobowiązały się już do palenia na stosie wszystkich, którzy zostali ukarani kościelną ekskomuniką.

SPALENIE ZWŁOK GREISERA

ŚŁUSZNIE się pisało, że organizowanie publicznych egzekucji nie wpływa na uspokojenie rozgranych przez wojnę krwiożerczych instynktów. Mimo to, Greiser został stracony na oczach 100 tys. ludzi, w tym co najmniej 50 tys. dzieci. Jak doniosły pisma, ciało jego zostało — spalone. Tego nie rozumiemy. Jesteśmy krajem katolickim, a Kościół zabrania palenia ciał. W tym, że został stracony Niemiec, nie widzimy powodu wprowadzenia akatolickich praktyk. Greiser został stracony, ponieważ prawo niemieckie, któremu był posłuszny, nie było prawem chrześcijańskim — jedynie prawdziwym. Prawo wiecznej moralności, prawo chrześcijańskie, skazało go na śmierć. A potem jego ciało, wbrew temu prawu, zostało spalone. Brak logiki.

SYMPATIE I ANTYPATIE

Nowaczyński lubi jednych i nie lubi drugich. To prawo artystów, paszkwiliistów i pamflicistów. Jak wali to na całego, na odlew, tłucze i miażdży, jak kocha to także na całego — całował by się z dubeltówki. Kogo kocha? Ano — np. Czechów. Też napisał „ze ich „odkrył“, bo to się u nas nikt na Czechach nie rozumiał i nikt nie pamiętał o słowiańskim braterstwie dwóch narodów przedzielonych Karpatami. Barnabas Nedostał cesarski koncepcista cyrkularny w „Wiosnie narodów“ to jedna z kapitalniejszych postaci scenicznych u Nowaczyńskiego. Nota bene: postaci, podkreślamy: żyjących postaci. Bo Nowaczyńskiego sztuki są mało literackie, mało przez bohaterów przeżywane, zreszczenie skłcone — to prawda, ale materiał historyczny i język przytłacza fabułę. Ten materiał historyczny jest bajeczny „naukowo dający się uwierutnić, sprawdzić i skontrolować“. Gorzej z bohaterami. Ci są mało ludzcy, trochę sztywni, trochę zanadto gadający, polemici raczej i na wzór swego twórcy pamflicisci a nie ludzie z krwi i z kości. Początkowo gorzej — potem coraz lepiej. „Wiosna narodów“ to już chef d'oeuvre artystyczne. W „Cyganerii Warszawskiej“ — którą Nowaczyński nazywa próbą „rewizji kultu romantycznego“ — bohaterowie są bladzi i bez wdzięku. Tyle, że wypowiadają — słowami — swoją epokę. Inaczej w „Wiosnie narodów“. Tu już nie tylko epoka: tutaj ludzie. Nedostał — bajeczny. A baron Krieg de Hochfelden, cesarski nadworny starosta cyrkularny? Austriacka odmiana małego Fryderyka — kapitalny. To samo maman Liedermayer. To samo cała Gwardia Narodowa na czele z Ekielskim, Thomainem, Rosenstossiem...

Abe (nie abbel!) Rosenstoss! Wiadomo, że rozmaite były sympatie i antypatie Nowaczyńskiego, ale też publicznie jest wiadome, że w „Śnie Srebrnym Salomei Kohn“ i gdzieindziej też dał wyraz swym bardzo gorącym antypatiom do Żydów! To prawda, U pisarza każda antypatia nabierała zaraz proporcji niebywanych. Ale rzecz ciekawa, że gdy ten wściekły pamflicista grzmiał antyżydowsko w swej publicystyce, w sztukach, w sztuce, jako artysta potrafił zawsze utrafić we właściwą miarę. Taki np. właśnie Rosenstoss. Śmieszny, skarykaturowany — jak zresztą wszyscy z tego czasu krakowskiej burzy w szklance wody — przy tym z całą swą śmiesnością wcale inte-resujący. Bo gdy rewolta się kończy, kto ukrywa kompromitującą broń, kto ją „kupuje“? — te nikomu już niepotrzebne pistolety, płacąc ryńskimi, grysińskimi, cukrem i mąką? Abe Rosenstoss. I kiedy przerażona maman Lidermayer lęka się dotknąć paki z bronią, Rosenstoss powiada:

„Nie jest żadne niebezpieczne, bo ja nalepiłem napis: „Firma Rosenstoss i Synowie“. My jesteśmy korzenni! Nikt nie ośmielił się podejrzenie mieć co w tym jest!“

Znowu ten ciekawy u Nowaczyńskiego dualizm. Pisze contra Żydom, prawie pluje. Ale gdy go wziąć bliżej, to od razu, po sarmacku mięknie. Przyznaje:

„Z antysemityzmem integralnym, naukowo, nerwowo, rasowym bezwzględnie nie mam nic wspólnego, jak nic nie mogę mieć wspólnego z zoologicznymi ślepyimi odruchami i instynktami czerni i miazgi; wszelka walka na pięści z groźną hegemonią jest mi organicznie wstrętna...“

Patrzył na sprawę w ten sposób, że był przeciwny asymilacji nie wierząc w nią. Pisał: „gdybym był Żydem byłbym... Zabotyńskim“. Żyda religijnego cenil. Pisze: „suponuję, że najbardziej uświadomiony aryjsko Lechita mógłby np. coram publico pocałować w rękę starego siwowłosego chasyda krakowskiego idącego w otoczeniu mełamedów w piątek wieczorem w czarnym jedwabnym chalacie w futrzanej czapce lisiej, z tałasami...“. Oto nieznaną Nowaczyński. Ale możnaby zacytować coś jeszcze bardziej rewelacyjnego. Pisze: „Szczerze mówiąc, gdyby tych gorąco-krwistych drożdży nie było, trzeba by ich importować, gdyż inaczej żywcem byśmy jedni zasnęli, inni zatęchli, inni zeprzeli, inni sparcieli, inni zaśmierdli, inni wyjąłowiel. Inni zardzewieli, inni wprost zginęli w kwiaty i kismecie“.

Jan Dobraczyński

Najgorętszy człowiek

Also sprach — autor „Śnu srebrnego Salomei Kohn“.

Ale mówimy o sympatiach i antypatiach. Więc ma wyraźną antypatię do Napoleonów. Wszystkich. Zwłaszcza jednak do kabotyńca nad kabotyńca Napoleona III. Dla niego, jak dla Hugo — ten „socjalista“ nie był nigdy socjalistą, ten katolik nie był przez sekundę wierzącym katolikiem, ten regent nie ma w sobie jednej danej na regenta, jest kaprysem przeznaczenia, jest szyderstwem losu, jest pajacem w dziejach Francji i jest jej przekleństwem, fatalnością. (Zawsze Nowaczyński odnajdywał jakieś analogie między „Badaniem“ a Piłsudskim... Natomiast ma sympatię do Massaryka. „Gentleman w każdym calu. Demokracja w najbardziej zachodnio-europejskim tego słowa znaczeniu...“). Żywi już nie miłość, ale prawie kult do Conrada. Za to nie żywi żadnej miłości, a raczej uczucia zgody inne dla Jessie Conrad, dość sobie otyłej wdowy po wielkim pisarzu, która po śmierci autora „Victory“ napisała książeczkę — pożałuj Boże — wspomnienie o wielkim, który — o horror! — „nie grał w karty, nie pijał, nie miał pojęcia o narkotykach ani zbrodniach...“, ale że „za dużo w domu wysiadywał... nierówny, zmienny, kapryśny, pobudliwy, drażliwy, podejrzliwy, porywczy, rozdrażniony, wybuchowy, gadatliwy, milczący, zamknięty, skryty, zacząjony, uparty, przekorny, nietolerancyjny, egocentryczny itd.“. I ten najgorętszy „niezabawny, niesmaczny i całkiem w plebejskim guście zarzut: „the polish husband“.

Krótko mówiąc: kuchta!

Ale w ogóle to przed kobietami chapeaux bas. Cała sympatia to przede wszystkim dla nich, dla tych żon i towarzyszek wielkich i tworzących. Bo „być... wielkości towarzyszką dożgonną to nie tylko ciężar wzniosłego poświęcenia, to jeszcze i kunszt wielki. No, a już towarzyszyć w wędrowce wielkim artystom, poetom, pisarzom, czyli być: „podporami potworów“, na to trzeba całkiem wyjątkowej kongenialności, co prawda nie tyle mózgu ile — serca“.

W sztukach Nowaczyńskiego kobieta istnieje zawsze. Ale gdy łatwo przychodzi pisarzowi odtworzyć typ kobiety namiętnej, próżnej, kłótlivej i złej, a przynajmniej po kobiecemu słabej, pełnej kobiecych wad i słabości — to typy dodatnie odznaczają się bladością i brakiem życia. Takie panny Gockowskie — rozplakane papużki — prawie bez oblicza. Gorzej jeszcze, gdy kobiecie każe Nowaczyński odgrywać rolę moralizatora — jak Wandzie Prohazkowej, lub Linoskiej. O ile są słabe panny Lidermayer, o tyle doskonała jest Maman Lidermayer. O ile jest słaba Kaszowska, o tyle jest świetna Miroluba.

W „Wojna wojnie“ i w „O żonach złych i dobrych“ przedstawia Nowaczyński całą galerię słabości kobiecych. A i tu — w tym rozigraniu szyderstwa — pojawia się pierwsza poważna próba dotarcia do prawdziwej kobiety. Słabość posągowo cnotliwej Zannetty Firley i śmieszna — a przecież ciekawa — przemiana Dory Staroswieckiej — to szkieletowy do Lukrecji Borgia. Pierwsza — i ostatnia — prawdziwa kobieta u Nowaczyńskiego. Posiada wszystkie prawie słabości innych kobiet — a przynajmniej tych słabości ślady — a obok tego potęgę głęboko ludzkiego przeżycia.

Sympatie i antypatie. Kocha Nowaczyński Wielkopolskę, bo jest ona dla niego dzielnicą ludzi o tęgich głowach, mocnej woli i twardych mięśniach. To taki polski „Far West“ wedle ideału mister Samuela Szeląga. Nie kocha natomiast i to mocno Galilejsko-lodomeryjskiego światka z przed pierwszej wielkiej wojny, tego światka, który się piaszczy przed Teutonami razem z radcą Habdank-Rakuskim, który jest wielbicielem „Regie austriackiej“ w osobach pana Senatora, pana Prezesa i pana Gardentego i którego wielki Kraków... to jest mikrokosmos ma-krokosmu polskich megalomanii! niezdarności! kalectw! to jest artystyczny przetwór tego wszystkiego, co w stadium su-

rogatu jest w całej Polsce. Wasze miasteczko, drodzy citizens, to jest istotnie ostoją humanizmu, ale to jest przy tym stolica hipokryzji, kolebka tanich wariacji i wylęgarnia snobów... Cała edukacja waszej młodzieży jest doskonale antigrecka! Wasi bakałarze są z ducha Teutonami, wychowującymi nową generację germanosklawów, pigmejów, mirmidonów, feaków!... austriackich feaków!... Wami za długo rządził taki... taki trust fantastów! Wy zanadto zaufaliście waszemu natchnionemu lirykom i sentymentalnym idealistom! To oni kazali wam przez sto lat chodzić na szczudłach! O... i nie patrzeć nawet na szarą ziemię... To oni w was wmówili ten prometeizm!... Ta elita uczy naród szkodliwych wielkopolskich grymasów kulturalnych! Ta elita żyje od wieku parazytycznie intelektualnymi odpadkami Francji i Niemiec. Ta elita gąbczastym murem ładnych frazesów oddzieliła naród od życia, od praktycznego, twórczego życia, ta elita podtrzymuje tradycje, ale obezwładniające społeczeństwo tradycje! Ta elita tamuje oryginalne, przyrodzone samotwożenie się narodu! Ta elita uczy was wzgardy zwykłych warsztatów pracy, łokcia, kwarty, kielni... ta elita każe wam z nauk przyrodniczych robić kopciuszkę edukacji a z wszelkich staroswieccyzn — beniaminka! Ta elita narzuciła wam chorobę upajania się słowami byle pięknymi, pięknie rymowanymi słowami! Ta elita hoduje w was sztucznie hipertrofię estetycznego zmysłu! Ta elita pilnuje trzymania się jak najdalej od wszelkich kwestii społecznych! Ta elita każe wam wciąż wielbić sielskie dworki a I ta elita zrobiła z was dystyngowanych sans-culottów Europy!“ („Nowe Ateny“)

Przyznaje się bowiem Nowaczyński, że:

„Austriacyzm lekceważyłem i niecierpiałem od dziecka. Sądzę, że jeżeli w literaturze naszej było tyle tuzów, propagujących opór przeciw najazdowi rosyjskiemu, to powinien być i mógł się w niej zmieścić i rozrosnąć jeden, co z dyfamacji serwilizmu wobec tego z trzech zaborców najperfidniejszego, bo najbardziej charakter polski korumpującego, specjalność i misję sobie wyznaczył. Od 1914 r. też datuje się moja agresywność wobec mentalności lodomeryjskiej i jej przedstawicieli i od tego czasu konflikt z rodzinnym miastem ek Krakowem...“. Bo wprawdzie „krakowskie społeczeństwo jest bardzo patriotyczne, ale jest skroś antynacjonalne, ma kolektywnie najwięcej rozumu państwowego, raison d'etat, ale najmniej instynktu narodowego...“.

Sentymenty i antypatie... Nowaczyński nie cierpi Austrii, walczy całe życie z Niemcami choć nie traci z oczu narodowych cnót niemieckich... Czczy natomiast Anglię. A mimo to pisze: „Dobrze i higienicznie wziąć do ręki takie „Public Faces“ młodego Nicolsona Haralda, syna tego, co całą wojnę europejską reżytersko przygotował... Tu są te wszystkie spżowe momenty, przedstawione co nie co od tyłu, od kulis, od wnętrza i co nie co jest wskazana łączność między pozą, postawą, nastawieniem oficjalnym a... businesssem. Areopag odbrażowiony. Procenty, pensje, giełda, akcje, afery. „Public Faces“, Harald Nicolson, Dlaczego tak grzmi jowiszowo wnuk Marlborougha, dlaczego tak ruga „Germ-Hums“ ten i ów mąż z Oxfordu, z Canterbury, z „Primo-Club?“ Business as usual, po naszymu interes jak zawaze. Tu a tam, tyle a tyle, za to, za tamto. Nagle poczuł ogrom afektu dla Poland starszej daty mr. Garwin w „Observerze“. Cieszymy się, ale cum grano Salisbury... Mówi sam Chamberlain: nie są to „te Niemcy, którym można robić ustępstwa“. Well. Ale widocznie są inne, którym by się zrobiło, skoro te same „Timesy“ oburzone moralnie do szpiku kości 14 maja, już 20 pisał, że „trzeba dać Niemcom moralną satysfakcję“ (sic!).

No, no... Nie można Nowaczyńskiego oskarżać o tani oportunizm.

tamtego pokolenia (4)

(DOKOŃCZENIE)

Sentymenty i antypatie. Ma je każdy autor, każdy artysta. Musi je mieć. Si non e vero...

ŚCIEŻKA W GORĘ.

A jednak ciężkie ślady Nietzschego widać na twórczości Nowaczyńskiego. Może jeszcze i Ibsena. W krakauerskim salonie Promazków: „nazwiska Nietzschego, jak za życia ś.p. prof. Prohazki... tak i teraz głośno nawet wymawiać nie wolno”. Jest to uraz w pisarzu, niewątpliwie jest. Bo jednak Nietzsche wywarł duże wrażenie na Nowaczyńskim — na człowieku tak wpływowym, tak łatwo dającym się zafascynować każdą wielkością. Najwięcej rysów demonicznego Zaratustry posiada u Nowaczyńskiego „diabeł” Stadnicki, starosta Zygmuntowski. „Setkom ludzi — powiada o nim wojewoda Ostroróg — on dziwnym tyranstwem był, chorobliwa żądza hardego państwowania szerzył...” („Smocze gniazdo”). A starosta Herbur dodaje: „Z chóru strąconych aniołów... Stadnicki starosta był”.

A mimo to jest w Nowaczyńskim jakaś wielka słabość i do tego także Cezara. „Ten mocny — mówi Stadnicki — który stoi sam, mości państwo. Bo się i bram piekielnych nie uleknę i nie klęknie za żywota przed nikim”. Pisarz ulega tej dumie. Pisarz może nawet wypowiada w słowach swego bohatera własną dumę — dumę tego, który miał wolę zrobienia o wiele więcej niż zdolny jest zrobić zrezygnowany pamflicista — a jeśli tego nie zrobił — to może i nie była jego wina... W każdym razie twórczość Nowaczyńskiego zdradza wszystkie objawy zjawiska, które Zieliński określa mianem „manii twórczej”. Wola immoralizmu. Wola narzucania losowi własnego oblicza. Wola choćby mimo Boga...“.

Ten rys towarzyszy twórczości Nowaczyńskiego długo. Pojawia się czasami buntem jednostki — mocnej i nieuległej jak Stadnicki — a czasami rysem złośliwej, szyderczej ironii. W zniechęconym krakauerskim światku niechęć do małości i zgnilizny łączy się z niechęcią do apostołsko-katolickiej monarchii, która tak bardzo — nie ma na bardziej demoralizującego, jak rozkładający się katolicyzm! — zatrąwała atmosferę swym zakłamaniem. Katolicyzm jest jedyną prawdziwą wiarą, ale tam, gdzie go nie ma naprawdę, gdzie się go wyznaje tak tylko — po niedzielnej mszy na zewnątrz — jak w Austrii — tam lepsza jest herezja lub brak wiary niż taka wiara. Katolicyzm nie może być na pokaz. Katolicyzm może być gorszy lub lepszy, może realizować wielkie dzieła lub zaledwie szarpać się w walce obronnej — nie zewnętrzny, bowiem osiągnięciami mierzy się jego siłę — ale to musi być żywy katolicyzm, katolicyzm wiary i woli, — woli wiary, woli czynu! Co się osiągnie to rzecz druga, dalsza. Osiąga bowiem ten tylko, kto potrafi budować na fundamencie wiary z materiału Łaski. Nie każdy pozna się w czas na tym, z czego ma budować. Wielu kładzie słomę zamiast cementu. Zwali się taka budowa. Ale człowiek ocala. „Jako by przez ogień” — ale ocala. Bo jednak była wola czynu.

Jeżeli jednak nie ma wiary i woli a jest tylko katolicka poza, tradycja i faryzeizm, to taki „katolicyzm” działa jak trucizna. Zabija, odbiera zdolność twórczą. Wysysa siły. Czyni człowieka i naród igraszką nietwórczych porywów. Skazuje na bierność. Jest stokrój bardziej miażdzący niż każda inna wiara błędna lecz wyznawana szczerze.

Może nawet więcej: z takim pseudo-katolicyzmem spotkało się pokolenie Nowaczyńskiego. Nie uogólniajmy zresztą. Rzecz zrozumiała, że człowieka, który naprawdę kocha wielkość i rwał się do wielkości, musiała zrazić wielka religia, wyznawana u stam małych, a wielkich chyba tylko w hipokryzji. Nowaczyński wolał się czuć „dzieckiem szatana” i wyznawcą nadczołwieka. Wolał zbierać i pasjonować się ariamijskimi drukami, szukać w nich prawdy — prawdy protestu — prawdy wielkiego

sprzeciwu powszechnej małości. Ale wreszcie... Nie wiemy, kiedy się to stało. Powoli poczynają się pojawiać słowa, fragmenciki, urywki... Pojawia się dziwna scena w sztuce „O żonach złych i o dobrych”. Pamiętamy ją. Rozwiedziona i prawie się prostytuująca Dora Staro-święcka nagle po jednej rannej wycieczce do lasu, odczuwa zawzięte pragnienie „przenicować się, przefasonować, żyć całkiem inaczej, żeby raz przestać zażywać tym kobietom, co żyją szlachetnie”. I ze swym pomysłem wypowiada się księdzu — ot, takiemu wiejskiemu księżułkowi, którego bzikem jest robienie wina z żyta. Ale ten księżulek, potulny sobie dotychczas i bez oblicza, nagle nabiera życia i tęgości. Z jakąś niebywałą powagą i krytycyzmem słucha słów rozwichrzonej kobiety. A gdy ona skończyła, mówi:

„Ponieważ pani mówi uczciwie i szczerze, odpowiadam pani jak mi rozum, sumienie i serce dyktują. Nie ma predestynacji. Nie ma fatalizmu. Nie ma wrodzonego złego i wrodzonego dobrego. To wszystko są naleciałości. Wszystko! Złe od wewnątrz, choroby wieku, psychozy cywilizacji... Zastanów się nad sobą i pomyśl, ile przez twą urodę możesz zrobić dobrego a ile złego! Apeluje do pani instynktu samozachowawczego. Jeżeli jest piekło po śmierci, to bywa też piekło za życia. A to piekło wy mężczyznom stwarzacie. Zamiast być akumulatorami energii, jesteście eprowetkami laseczników rozkładu. Jest tyle, tyle, tyle w kraju do zrobienia, a wy chcecie tylko przyrządzać coctails, wygrywać raidy, kontrolować w bridżu i kontrolować w małżeństwie... Będę naprawdę Boga prosił i modlił się, aby ci się nawrócenie powiodło. Więcej bowiem jest w niebieskich radości i wesela z jednej grzeszniczki, która przychodzi do opamiętania, jak z dziewięćdziesięciu dziecinie nudnych, szarych, tuzinkowych...”.

Czy nie to właśnie przemówiło do Nowaczyńskiego? Czy tego człowieka skrajności i wielkości nie przekonał fakt, że właśnie wielcy, właśnie skrajni nawracają się i idą do Prawdy, a odchylają się od Niej tylko mali, których nie stać na wielki gest? Nie bez zdumienia obserwował przemianę świata. Widział jak w Anglii heretyckiej, a tak czczonej, w Anglii katolicyzm poczyną zdobywać pozycję za pozycją. Pisze w 1934 r.: „W Izbie Lordów jest 43 katolików, ale wszyscy pełni zapału konfesyjnego i przy każdej okazji to manifestujący. W Izbie Gmin takich samych „zaciętych papistów” jest 24. Jest czterech katolików w Labour Party... W Londynie zrobiono wolny uniwersytet katolicki... Tygodnik katolicki „The Uniwers” biją w przeszło stu tysiącach egzemplarzy. Foreign-Office nie waha się na tak ważne placówki jak sekretariat Ligi Narodów lub Ambasada w Paryżu wysyłać katolików (sir Drummond, Tyrrel). W parlamencie Labour Party stale i demonstracyjnie popiera wszystkie postulaty katolickiej ludności...”.

A w literaturze angielskiej po Wiesemanie, Newmanie i Faberze — Benson, Belloc, Chesterton. Z młodszych: Sheil Kaye Smith i Compton-Mackenzie.

A w Ameryce? Był czas kiedy Nowaczyński żywił dla USA trochę nadto wielki respekt. Potem ochłódł. Mimo to podkreśla: „W Stanach Zjednoczonych rezyduje 16 arcybiskupów i 104 biskupów. Można ojców Jezuitów lubić lub nie lubić, ale ciekawe jest bądź co bądź, że w Stanach Zjednoczonych jest największa ilość braci Loyola, bo 4231, podczas gdy w Anglii 3639, w Niemczech 3069, w Francji 2953, w Italii 1897, w Polsce kilkaset zaledwie...”.

Świat poczyną zmieniać oblicze, świat wraca na starą, dawno opuszczoną ścieżkę. Nowaczyński cytuje T. Manna, który sam będąc protestantem wldzi w „protestantyzmie współczynnik niemieckiej nacjonalnej reakcji, a w katolicyzmie, jedynie w katolicyzmie odnajduje tylko to, co właściwie chrześcijańskie, odnajduje warunknie wolności i tamę przeciw-

nawale barbarzyństwa”. Powtarza pełen zdumienia słowa Wella: „Jedyny Kościół, który się ostoi na ziemi, to rzymski katolicki Kościół”. To Kościół bowiem jest zdobywcą dusz, to do niego przychodzi wielu neoficy: Sigrida Undset czy Papini, czy choćby... Calles.

I Nowaczyński patrzy nie bez zdumienia na tę wielką przemianę wielkich, na tę siłę, która właśnie najtęższe umysły, najtęższe talenty, najgorętsze duchy — takie jakie Nowaczyński kocha i do jakich sam należy — ku sobie pociąga i do swego kręgu przykuwa. Przez świat idzie nowy wieś, nadchodzi nowa epoka równie oczywista inna niż poprzednie, jak epoka samolotu różni się od epoki dyliżansu. Pochylony nad swym stołem pisarz nasłuchuje. Jeszcze się waha, jeszcze czeka. Pamflicista i paszkwilista zawołany wie, że skoro jego ten magnes pociągnie, będzie musiał się wyrzec wielu pasji, będzie musiał stanąć — jak Bloy — w walce z samym sobą. Jeszcze go kusi życie rozwichrzonego pisarza, który wszystko zwalcza, niczemu nie służy. Ale krok za krokiem ustępuje. Prosi o książki. Przysyła do przyjaciół: dajcie mi coś mocnego, coś — co razi jak grom...

Przypomina mi się pewien wieczór, dla Nowaczyńskiego „Les voix qui crient dans le desert” Psychari’ego.

W tym czasie został już napisany „Najpiękniejszy człowiek mojego pokolenia” — prześliczny szkic o „Albercie” Adamie Chmielowskim. Nowaczyński — po śmierci żony — decyduje się na zamieszkanie u Albertynów na Grochowie. Nie Cezarów teraz szuka. Wertuje listy o Beyzym, wywiaduje się chciwie o nikomu nieznanego ks. Pinciurka...

I tak szukającego zaskoczyła wojna. Spłonął księgozbiór na Grochowskiej — rzekłby Wzywający chciał i tę przegrodę, oddalającą Go od pisarza usunąć. Jeszcze toczą się lata nędzy i poniewierki. Aż wreszcie koniec. Pół oślepięgo przywoła Nowaczyńskiego do szpitala św. Rocha. Prosi o kapelana. Nie widzi go. „To ksiądz? — pyta, wyciągając dłoń w coraz bardziej czerniejącą przestrzeń. — Ma ksiądz przed sobą wielkiego grzesznika...”.

Wielki grzesznik jest póty, póki swych win nie wyzna. Potem wszystko już trawi pożądliwy ogień Miłosierdzia.

A w końcu śmierć. W podniecającej, pełnej niepokoju i nasłuchiwaniami idących wypadków atmosferze, w pogodny dzień odbył się pogrzeb na Powązkach. Gdzie indziej chciał spocząć Nowaczyński. Urodzony na Podgórzu, wprowadził „kochał całą Polskę i Wschodnią i Wielkopolską, ale — pisał — jeżeli by zmarł przypadkowo nawet na umiłowanym Pomorzu, to jednak będzie prosił bardzo pokornie i przymilnie, żeby go w drodze łaski aeroplanem przewieźć na Podgórze i gdzieś tam, na jakimś wiejskim, skromnym cmentarzysku, pod jarzębiną pochować. Nie gdzie indziej, broń Panie Boże!”.

A mimo tych życzeń spoczął na Powązkach. Bóg raczy wiedzieć, czy żałuje teraz tego. Ziemia bowiem w Warszawie stała się lekka i serdeczna i nikt, kto kochał Polskę, nie czuje się w niej obcą. Stała się ziemią krwi i to krwi najlepszej, młodej, gorącej, tej co nie umiera inaczej, jak ofiarą i nie odradza się inaczej — jak kłosem.

Jan Dobraczyński

zwał potwornością ludzkości. Generalny oskarżyciel brytyjski Shawcross potępił przywódców hitlerowskich słowami oskarżonego Franka: „tysiące lat upłynęło a wi-na Niemiec nie będzie wymazana”. „Oskarżeni — powiedział Shawcross — wpa-jając narodowi niemieckiemu swoją ideologię wytepił w nim wszelkie uczucia litości”. Prokurator francuski Charles Ribot stwierdza, że tłumaczenie jakoby Hitler był wszystkim winien jest za łatwe. „Solidarność w rządach wymaga solidarności kary”. Prokurator sowiecki Gen. Rudenko stwierdził, że każdy z oskarżonych ponosi odpowiedzialność indywidualnie za popełnione zbrodnie. „Pachołkowie wykonywali brudną robotę — oświadczył Rudenko — podczas gdy oskarżeni wydawali jedynie rozkazy”. Karę śmierci dla wszystkich zażądał prokurator Rudenko.

W świetle...

KONGRES POKOJOWY

PO przyjeździe 2000 delegatów i ekspertów, reprezentujących interesy 21 państw, rozpoczęła się w Paryżu Konferencja Pokojowa. Tymczasowym przewodniczącym Konferencji został wybrany jednogłośnie premier Francji Bidault. Zaprojektowano utworzenie na konferencji pokojowej 9 komisji traktatowych: 5 terytorialnych, jednej prawnej, dwóch wojskowych i jednej gospodarczej. Skład 5 komisji terytorialnych zaprojektowano w ten sposób, że do wszystkich pięciu, które mają opracować traktaty pokojowe z Włochami, Rumunią, Bułgarią, Węgrami i Finlandią. Polska będzie reprezentowana tylko w jednej komisji, opracowującej traktat pokojowy z Włochami, wchodzi przedstawiciele państw, które były w stanie wojny z danym satelitą Niemiec.

Pierwszym zaakcentowaniem praw małych narodów do współstańnienia o pokój, było zebranie się Komisji Regulaminowej na sześć godzin przed terminem posiedzenia. Inicjatorem wyodrębnienia prac tej Komisji był delegat Australii. Na pierwszym tajnym posiedzeniu Komisja Regulaminowa powołała na przewodniczącego delegata Belgii dra Spaarka. Zastępcą jego został wybrany delegat Jugosławii Kardell.

Na jednym z pierwszych plenarnych posiedzeń Konferencji zabrakł głos delegata Wielkiej Brytanii Attlee, który w swojej mowie powiedział, że Konferencja stara się o włączenie do rodziny europejskiej pięciu zblakłych jej członków. Celem propozycji pokojowych jest usunięcie z umysłu szarego człowieka obawy nowej wojny. „Dwukrotnie w ciągu mego życia — powiedział Attlee — świat doświadczył o kropności wojny światowej. W obu wypadkach była nieudolność współżycia między narodami Europy”.

Byrnes oświadczył, że Stany Zjednoczone będą się trzymały tekstów uzgodnionych przez Wielką Czwórkę. Jeżeli jednak Konferencja większością 2/3 głosów uchwali zalecenia sprzeczne z ustalonymi przez Czterech, Stany Zjednoczone użyją całego swego wpływu, aby zalecenia te zostały przyjęte. „Po zwycięzeniu wroga — oświadczył Byrnes — różnice na temat sposobu budowy pokoju stać się musiały różnicami między sprzymierzonymi. Lecz bez względu na to, jakie będą trudności na drodze współpracy międzynarodowej, Stany Zjednoczone nie powrócą nigdy do polityki izolacji”.

Na wniosek Byrnesa, poparty przez Molotowa, jednogłośnie postanowiono udostępnić dziennikarzom zarówno obrady komisji, jak plenarne obrady Konferencji. Molotow oświadczył, że fałszywie interpretowano stanowisko ZSRR w sprawie publikacji projektów traktatów pokojowych. Związek Radziecki zawsze popierał ogłoszenie pełnych tekstów.

Jak można stwierdzić Konferencja Pokojowa wybrała dobrą drogę do zapewnienia światu pokoju. Wyborem tej dobrej drogi nazwać można pełno respektowania praw t. zw. „małych narodów”. Trwały pokój nie może bowiem pozostawić jakichś niedomówień, jakieś podziały na państwa pełno, i półprawne. Związek Radziecki, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania wygrały wówczas trwały pokój, tak jak zwycięsko wygrały wojnę, gdy zrealizują ideę pełnoprawnego współżycia wszystkich państw w świetle, niezależnie od ich potęgi gospodarczej i militarnej znaczenia.

PROCES NORIMBERSKI

PROCES norimberski zbliża się ku końcowi. Wielkie mowy oskarżycielskie prokuratorów: amerykańskiego, angielskiego, francuskiego i radzieckiego stwierdzają pełną winę oskarżonych i domagają się pełnego zwycięstwa sprawiedliwości. Naczelny prokurator Trybunału w Norimberdze Jackson określił rządy hitlerowskie jako hanbę XX wieku, prześladowanie Żydów na-



Tydzień kulturalny

ŚLADAMI

WIADOMOŚCI LITERACKICH

NAGRODA „Odrodzenia“ została w rodzinie. Otrzymał ją T. Breza, za nieznaną jeszcze szerokim rzeszom czytelników książkę „Mury Jerycha“. Czekamy z niecierpliwością ukazania się tej rewelacji, bo jak dotychczas talent p. Brezy głową sufitu nie przebijał... Na placu został Żukrowski, o którego od podnięciu zdecydowała, jak głosi plotka, M. Dąbrowska. Pozostanie mu w rewaniu rozsprzedanie pierwszego nakładu książki, którą jednogłośnie opinia publiczna uważa za najlepszą z wydanych po wojnie. Doskonałą o niej recenzję p. óra W. Macha umieściła czerwcowy „Twórca“.

REMBEK REDIVIVUS

PRZEKRÓJ“ przynosi nowelę Stanisława Rembeka „Cygarniczka zwycięstwa“. Powrót jednego z naszych najciekawszych prozaików (autora znakomitej powieści „W polu“), do pracy, witamy z radością. Nareszcie znowu dobra, mocna proza. Co za szczęście! Bo już istniały o bawę, że został nam tylko Brańdys i Holuj...!

TRZEBA NAPIĘTNOWAĆ

SZPIŁKI“ drukują poemat „samego“ Tuwina „Bal w operze“. Poemat jak poemat — trochę akrobatyki poetyckiej. Jest tam wszystko: „dziwka, która majtki pierze“ i ta, której „łydki słodko drżą“ i wogóle atmosfera „chuć — wskoku“ itp. Zupewnie w stylu.

Czemu jednak fragment Apokalipsy ma służyć za wstęp do tych seksualnych elukubracji? Zdecydowanie to nam nie odpowiada. Uważamy to za obrazę uczuć chrześcijańskich. „Szpilki“ mogą sobie drukować jak chcą pornografię — profestujemy jednak przeciwko zestawianiu pornografii z cytatami z Pisma św.!

CO CHCIAŁ WIONCZEK UKRYĆ

WIEMY już, że p. M. Wionczek chciał nas nabić. Wyobrażał sobie, że skoro on, ulubieniec muz, napisze jak to Chesterton został już w Anglii całkiem pogrzebany, to my w to uwierzmy. W Borowy w „Kuznicy“ ebalii mętnę rewelację p. Wionczka. Z kolei p. Aderska, kierowniczka działu wydawn. Trzaski, Ewerta i Michalskiego, w tejże „Kuznicy“, (która z niebawym heroizmem drukuje ciągi sprawiane jej pupilkowi) wykazała się ciętymi danymi, ile to nowych wydań książek Chestertona ukazało się w latach wojennych. Widzimy, że bardzo dużo. Niektóre książki, jak np. „Ortodoxy“, były wydane w czasie wojny aż trzy razy. W świetle tych faktów bujane twierdzenia p. Wionczka nabierają charakteru już nie tylko naiwności, ale po prostu grubej tendencji.

W Anglii wciąż na nowo drukują Chestertona. I to mniej powieści — zresztą świetne — ale przede wszystkim takie dzieła, jak „Ortodoxy“, „Św. Tomasz“, „Św. Franciszek“, „Królowa Siedmiu Mieczów“. Zwracamy uwagę: żadna z tych książek nie była nigdy tłumaczona na polski! Dziś, gdy mamy w Polsce tak dużo „anglistów“, tłumaczenia te powinny się wreszcie ukazać. Gibbs, London i Zaria, cus mogą poczekać.

„ESPRIT“ O NAS

WCZERWCOWYM „Esprit“ opisuje E. Mounier swoje wrażenia z pobytu w Polsce. Do tego artykułu trzeba będzie jeszcze wrócić. Tutaj chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę na spostrzeżenia, zrobione przez Mouniera na temat polskiej prasy katolickiej.

„Wychodzący w Warszawie — pisze Mounier — „Tygodnik Warszawski“ pod kierunkiem ks. Kaczyńskiego (nieścisle — nasza uwaga — dotychczas redaktorem pisma był ks. Wędołowski) odpowiada zmodernizowanemu „Temps Present“. O wiele mocniejszą pozycję zajmuje „Dziś i Jutro“. Zarzuca się jego kierownikowi i niektórym redaktorom to, że należeli przed wojną, lub wydawało się że należeli, do grup narodowych, że nie nawrócili się szczerze ani na katolicyzm, który wyznają, ani na radykalizm społeczny, który głoszą. Inni twierdzą o nich, że są

„kupieci przez marksistów“. Nieuniknione polemiki w okresie tak pełnym niepokojów, oraz brutalne doświadczenia wydarzeń, rodzą nawrócenia na radykalizm, przy czym sekret tych nawróceń wymyka się rozumowaniu. Stąd nieoczekiwane przegrupowania, które dezorientują obserwatora. Zespół „Dziś i Jutro“, wydaje się, rozpoczął dobrą pracę i trzeba mu w niej życzyć powodzenia. Kraków, stary bastion katolicyzmu i arystokracji, myśli lękliej niż Warszawa. Ale i tam powstają nowe szkoły. „Tygodnik Powszechny“ przypomina bardziej „Temps present“ niż jego odpowiednik warszawski...“

Pokłosie sezonu w teatrach warszawskich Perspektywy i skromne życzenia

Na dobrą sprawę, sezon w teatrach warszawskich mamy poza sobą. Dyr. Arnold Szyfman urządził artystom wczasy na okrągły miesiąc, oddając w sierpniu scenę Operze Śląskiej na dwutygodniowe występy. Dyr. Eugeniusz Poreda niezmordowanie dogrywa końcówki repertuarowej, pofolgowawszy jednemu teatrowi Comœdia, gdzie zaczęto w końcu kapitalną przeróbkę sali. Równocześnie tak Państwowy Teatr Polski p. Szyfmana, jak Miejskie Teatry Dramatyczne p. Poredy przechodzą ostrą gorączkę engagementu.

Kiedy ten felieton dotrze do Łaskawego Czytelnika teatru miejskie będą po gorączce. Ale u pogrobowca TKKT, przez praszam, u dyr. Szyfmana wszystko jeszcze pod wielkim znakiem zapytania. Wiadomo tylko, że w gabinecie elastycznego dyrektora i w garderobach aktorów zakłada się głośniki, przez które da się słyszeć, kto, co i w jaki sposób mówi na scenie. Dziwne doprawdy, że nie zastępuje ich także w zacisznych „twórcowniach“ członków Rady Teatralnej. Przy porządnym wzmocnieniu mogłyby podobne transmisje skutecznie przeciwdziałać śpiączce, którą to, że tak się wyrażę, ciało teatralne potrafi wkrótce zarazić cały nasz teatralny świat i światek.

Sezon ubiegły nie przyniósł właściwie żadnych cudów, nie obfitował w pozycje pod względem roboty artystycznej szczególnie wartościowej, niemniej trzeba być pobłażliwym, ponieważ oba warszawskie kompleksy teatralne organizowały się od nowa. Owszem, dyr. Arnoldowi Szyfmanowi, który rodził się w czepku... teatralnym dosłownie wszyscy ułatwiali organizowanie jego imprezy, pomócili ścieżki, usuwali trudności i zawiady, pomagali czapką i papką, gdy, przeciwnie, dyr. Eugeniuszowi Poredzie, o ile się orientuje, nie szło po różach. Nadto dyr. Szyfman miał sezon obcięty, paromiesięczny i nic go nie skłaniało do nadmiernego wysiłku. Zaś dyr. Poreda miał sezon pełny i na głowie cztery teatry, cztery sceny w stanie, który się popularnie nazywa „w proszku“. Państwowy Teatr Polski wysadził się aż na cztery premiery, zgoła nie ośmielając niczym rewelacyjnym, tyle że „Lille Wenede“ Juliusza

WIEKOWY AKADEMIK

PAWEŁ Claudel, największy poeta naszych czasów, został wybrany — nareszcie w osiemdziesiątym którymś roku życia! — na członka Akademii Francuskiej.

COŚ NAPRAWDĘ RACYKALNEGO

PARLAMENT szwedzki uchwalił ustawę, mocą której każdy obywatel, który skończy 67 lat, otrzymywać będzie od państwa pensję 1000 koron rocznie, zaś małżeństwo 2400 koron. Oto nareszcie radykalna reforma społeczna! Bo u nas wciąż za najwyższy postęp uważa się rentę (ew. emeryturę) starca, którą otrzymują ci, którzy mogą się wykazać pracą najemną (więc nie rzemieślnicy, nie

chłopi, nie artyści!). Dalej — renta ta — jeżeli zostanie po wielu, wielu beznadziejnych chodzeniach wreszcie przyznana, wynosi sumę fikcyjną. Są u nas emerytki pobierające 24 zł. emerytury miesięcznej. Wreszcie nie przysługują one wcale żonom reżystów — może zresztą zupełnie słusznie. Bo przecież gdy przy uposażeniu dodaje się na żonę dodatek wartości 5—10% uposażenia (i to nie zawsze), to rzecz zrozumiała, że żona wieku sześćdziesięciu paru lat nie dożyje...

Spóźnił się! Akurat chcieliśmy coś na ten temat napisać, a tu — bęc! Szwedzi okazali się radykalniejsi. Znowu Kiszewski będzie miał do nas pretensję.

dum wśród publiczności rozstrzygnęło na korzyść „Drogi do świtu“. Sztuka p. Pełpłowskiego trzymała się na afiszu bardzo długo przy doskonałej frekwencji. Niestety, prawie jak „Dzień bez kłamstwa“, którego powodzenie tłumaczył tym, że warszawiacy lubią — bez kłamstwa. Choćby sztuki nie były arcydziełami. (Nawiasem, nie wierzę, ani w recepty p. Jana Nepomucena Millera, ani, zwłaszcza, że Rada Teatralna wytrzymała nam demokratycznego polskiego Szekspira lub niechby Ibsena, ostatecznie Shaw'a. Na sennie Inauguracji nie umiałem oprzeć się wrażeniu, że patrzę oto na kwiat naszych akuszerów teatralnych, gotowych odbierać dziecko, które się wogóle nie urodzi, bo nigdy i nigdzie nie dało się sfabrykować na zamówienie. Więc fabrykacja w retortach? Mrzonki! Tam, diabła po retortach ministerialnych, gdy w Polsce talenty i arcydzieła zawsze rodziły się na kamieniach! Jestem niepoprawny: raczej wolę wierzyć w te kamienie).

W nowy sezon 1946 — 1947 dyrektor Poreda wstępuje z zespołem odświeżonym i dokompletowanym przez zaangażowanie pp. Dobiesława Damięckiego, Jana Kochanowicza, Jana Kurnakowicza, Janusza Wilamowskiego, Jacka Woszczerowicza, pań Górskiej, Grabowskiej i Jarkowskiej. Cieszy mnie powrót na scenę warszawską pp. Damięckiego, Kurnakowicza, Woszczerowicza i pani Jarkowskiej, artystów wybitnych zdolnościami, zapałem i kulturą, którzy pozwolą dyr. Poredzie o niejedno się pokusić, tym bardziej, że wnoszą tegi artystycznie dorobek, jak Damięcki Figara, Woszczerowicz Łatkę w „Dożywociu“. Ufam, że teraz p. dyr. Poreda spełni obietnicę, którą pamiętam z jego przemówienia na otwarcie Sceny Muzyczno-Operowej, obietnicę „chleba teatralnego dla mas z rzetelnej artystycznej maki“.

Konjunktura trwa, los sprzyja teatrowi. Odpadli współpracownicy, radio i kino, ludzie do teatru się garną, gnani od sześciu lat tęsknotą za słowem pięknym, polskim, polską sztuką. Społeczeństwo nie zawiedzie. I z pewnością zmadrzeją wreszcie czynniki, na których ciąży obowiązek finansowego zasilania Miejskich Teatrów Dramatycznych.

Nie marnować koniunktury. Nie spać! Osobiście, życzę jednego dyr. Poredzie: żeby Mu do „rzetelnej maki“ nie mieszało kiepskiej kontyngentówki.

Janusz Kawecki

WŚRÓD KSIĄŻEK

Jozef Kostrzewski. Prastowiańszczyzna. Zarys dziejów kultury Prastowiańskiej. Poznań, 1946. „Księgarnia Akademicka“, str. 162.

Działalność prof. Józefa Kostrzewskiego na gruncie naukowym, kulturalnym oraz społecznym, jest w Polsce przeciętnemu człowiekowi inteligentnemu dobrze znana. Ten niezmiernie surowy dla siebie człowiek, gorący zwolennik wyrugowania z naszego życia społecznego alkoholizmu, z ściągnięciem sumienia, dokładnością i zrozumieniem swych celów życia, kroczy naprzód w ukochanej swojej dziedzinie, jaką jest prahistoria, wychował sobie w międzyczasie pokaźną gromadę uczniów i zbudował szkołę naukową, t. zw. „poznanską“, która kroczy swymi drogami i która w prehistorii polskiej osiągnęła największe dotychczasowe wyniki badawcze. Sprawa prehistorii poznanskiej — to sprawa upartej walki z niemczyzną, która niejednokrotnie dla celów politycznych nadużywała prehistorię, nie bacząc nawet na to, że w ten sposób wprowadzała naukę niemiecką na manowce. Najwięksi prehistorycy niemieccy nadużywali swój wielki kredyt moralny, jako wybitni naukowcy, dla do różnych celów politycznych, by walczyć ze światem słowiańskim, a zwłaszcza z polskim punktem widzenia na zagadnienie prehistoryczne, fałszując dane i przekraczając przez umyślną tendencję oczywiste prawdy naukowe. Prof. Kostrzewski i szkoła poznanska nie mało czasu i wysiłków włożyli w okresie międzywojennym, by te tendencyjne kłamstwa nauki wojennej zwalczyć, a uczony ten zagranicą reprezentował stale polski

punkt widzenia na zagadnienia prehistoryczne wobec świata nauki. Jak wyglądały te sprawy w praktyce, wiedza najlepiej ci wszyscy, którzy z Nim najbliższej współpracowali, a zwłaszcza koledzy po fachu oraz uczniowie. Ze postawa ta wywoływała wściekłość u Niemców świadczą fakt, że wielu uczniów jego już dziś nie żyje, a sam prof. Kostrzewski musiał się ukrywać pod przybranym nazwiskiem przez cały okres okupacji niemieckiej, zmieniając stale miejsce pobytu.

Wydana obecnie książka jest sumą tych przemyśleń, jakie autor podjął w okresie okupacji, zdala od warsztatu pracy prehistorycznej, jakim jest muzeum i biblioteka fachowa. „Prastowiańszczyzna“ jest właściwie popularnie napisaną monografią o kulturze łużyckiej, o kulturze, o którą przede wszystkim staczał Kostrzewski zażarte boje z Niemcami, a potem doświadczył tragicznych kolei losów jego uczniowie, dopadnięci przez bezwzględnych w swych czynach siepaczy hitlerowskich. Dziś trudno coś powiedzieć o tej książce. Jest ona uosobieniem tego, o co walczył przez tyle lat ten uczony. Jest sumą idei, które zostały już w formie naukowej dawniej przebrane na papier, a dziś w formie popularnej ukazują się znowu w wydaniu książkowym. Poza wartością dydaktyczną, jaką ta książka przedstawia, jest to przede wszystkim dokument walk o kulturę łużycką, walk, które już minęły i należą do historii badań. Wobec wprowadzenia nauki prehistorii do powszechnego nauczania, stanie się ta książka niewątpliwie najcenniejszym podręcznikiem, uzupełniającym wiedzę w zakresie tej najbardziej

charakterystycznej kultury prehistorycznej, jaką jest kultura łużycka na ziemiach polskich.

Książka ta winna się znaleźć w bibliotekach szkolnych oraz w bibliotece nauczycielskiej każdego niższego i średniego zakładu naukowego. Jest ona też trzecią z kolei pracą popularną o prehistorii, napisaną dla celów dydaktycznych, ukazującą się po wojnie. Wprawdzie nie obejmuje ona całości procesów prehistorycznych, ale jest z tych trzech pozycji najcenniejszą i najwartościowszą, gdyż opartą na gruntownych badaniach naukowych tego problemu i najwybitniejszego prehistoryka polskiego doby obecnej. Praca ta została wydana starannie z szeregiem ilustracji, jako uzupełnień tekstu, co jeszcze podnosi jej wartość.

J. Ant.

Wiadomości o Państwie.

Ukazała się książka prof. Czesława Znamierowskiego pt. „Elementarne wiadomości o państwie“.

Autor uporządkował rzeczy powszednie znane w przejrzystą całość, ujmując beznamiętnie i jasno zasadnicze pojęcia. W przedstawianiu instytucji współczesnego państwa demokratycznego nie zatrzymuje się na różnych jego możliwych odmianach, lecz podaje ich wspólne rysy zasadnicze.

Książka pomoże czytelnikowi w jego własnych rozumowaniach o państwie i o instytucjach, które składają się na jego strukturę.

Książka ta została wydana przez Księgarnię Wł. Wilak w Poznaniu (cena 125 zł.).

Krajowa Kronika Gospodarcza

PLACE I APROWIZACJA.

Zagadnienie polityki płac i poprawy bytu szerokich mas pracowniczych jest ciągle centralnym zagadnieniem naszego życia gospodarczego. Rada Ministrów powzięła uchwałę powołującą Mieszana Komisję Płac złożoną z przedstawicieli Prezydium Rady Ministrów, szeregu Ministerstw, Centralnego Urzędu Planowania, Spółdzielczości oraz Związków Zawodowych, której zadaniem ma być opracowanie nowych płac i świadczeń dla pracowników. Wyniki swych prac przedstawi Komisja w formie wniosków Komitetowi Ekonomicznemu Rady Ministrów. Powołano specjalne Prezydium Komisji, które ma ustalić regulamin, określający skład, organizację i tryb pracy Komisji, oraz opracować projekt preliminarza wydatków Komisji. Wydatki te będą pokrywane z budżetu Prezydium Rady Ministrów.

W ostatnich dniach odbyła się w Centralnym Urzędzie Planowania konferencja prasowa, na której prezes C. U. P. Bobrowski poinformował zebranych o bieżącej polityce płac i aproewizacji. W ciągu bieżącego roku, oświadczył Prezes Bobrowski, nastąpił wzrost ogólnej sumy płac zarówno na skutek podwyżki zarobków, jak i przez zwiększenie stanu zatrudnienia. Mimo tego istnieją jeszcze różne bolączki w zakresie płac (np. sprawa niernormalnego stosunku wysokości płac stałych do wysokości premii).

Znaczna poprawa nastąpiła w dziedzinie aproewizacji. Tak np. realizacji zaopatrzenia reglamentowanego w żyto, pszenicę i białko została w czerwcu wykonana w 100 proc., podczas gdy w pierwszym kwartale bieżącego roku wynosiła: żyto 81,3 proc. zapotrzebowania, a pszenica 38,3 proc. Brak mięsa został zastąpiony rybami. Natomiast, mimo pewnej poprawy, ciągle jeszcze niedostateczne wyniki osiąga się w zakresie pokrycia zapotrzebowania na tłuszcz (w czerwcu — 63,6 proc., podczas gdy w pierwszym kwartale — 26,1 proc.).

Ponadto w okresie przedwiosna zaopatrzone dodatkowo: zniszczone okręgi piasa przyfrontowego z roku 1944, Ziemię Odzyskaną, wczasy i kolonie letnie, co było możliwe dzięki dostawom z UNRRA i ze Związku Radzieckiego.

W zakończeniu Prezes Bobrowski podkreślił, że Rząd stosując politykę płac musi postępować planowo i ostrożnie, aby nie dopuścić do inflacji, oraz stwierdził, że mimo licznych jeszcze trudności, wchodzimy już w okres gospodarki planowej i stopniowo zbliżamy się do stabilizacji stosunków gospodarczych.

LICZEBNOŚĆ ZWIĄZKÓW ZAWOD.

Komisja Centralna Związków Zawodowych zrzesa (według stanu na dzień 1.V. 1946 r.) 1.780.431 członków, — robotników i pracowników umysłowych, zorganizowanych w 30 związkach centralnych. Największą ilość członków mają następujące Związki Zawodowe:

Pracownicy kolejowi — 287.000 czł.
Pracownicy przemysłu metalowego — 177.231 czł.

Górnicy — 169.958 czł.
Prac. Samorządu Terytorialnego i Uż. Publ. — 165.601 czł.

Prac. Przemysłu Włókienniczego — 120.604 czł.

Nauczyciele — 114.246 czł.

Pracownicy banków, kas oszczędn. i ubezpieczeń — 110.353 czł.

Prac. przemysłu budowlanego — 108.118 czł.

Należy zaznaczyć, że od dnia 1 maja b. r. liczba członków Związków Zawodowych znacznie się zwiększyła.

PRODUKCJA WAGONÓW TOWAROWYCH.

W miesiącu czerwcu b. r. wyprodukowano łącznie 487 wagonów towarowych w następujących fabrykach:

Państw. Fabr. Wagonów we Wrocławiu — 320 wagonów.

Wytwórnia Wagonów w Chorzowie — 60 wagonów.

Zakłady Ostrowieckie — 82 wagony.
Zaodrzańskie Zakłady Budowy Mostów i Wagonów w Zielonej Górze — 25 wagonów.

Razem w czerwcu wyprodukowano o 83 wagony więcej, niż w maju.

Pozatym uruchomiona częściowo fabryka wagonów w Elblągu przeprowadza remonty uszkodzonych wagonów. Po całkowitym odbudowaniu urządzeń fabrycznych będzie ona produkowała również wagony osobowe.

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

Norwegia na drodze do odbudowy. W skołataną Europę powojenną Norwegia jest jednym z nielicznych, wyjątkowych krajów, w których dzieło rekonstrukcji gospodarczej dokonywa się szybko i bez wstrząsów. Złożyły się na to szereg przyczyn. Pierwszą, to położenie geograficzne, raczej na uboczu od „zapalnych regionów”, dzięki czemu po epi-

ZYCIE GOSPODARCZE

Ważny kwartał

I.

Drugi kwartał bieżącego roku upłynął pod znakiem regulowania płac i cen sżywnych w sektorze państwowym.

W zakresie płac przyjęto jako zasadę podniesienie stopy życiowej najniższych grup uposażeniowych i utrzymanie, względnie nieznaczne podniesienie stopy grup najwyższych. Podwyżka płac pracowników państwowych wynosiła od 100% w najniższej grupie XII do 10 proc. w najwyższej I-szej grupie, w wyniku czego płace te kształtują się od zł. 1.200 do zł. 3.900. Ogólną podwyżką płac nie zostali objęci pracownicy garbarscy i drukarze z uwagi na to, że ich dotychczasowe płace były znacznie wyższe od ogólnego poziomu.

Regulacja cen sżywnych polegała po pierwsze na zmniejszeniu rozpiętości mnożników cen, po drugie na podniesieniu cen przede wszystkim podstawowych surowców. Rozpiętość mnożników (mnożnik jest to cyfra przez którą mnoży się cenę przedwojenną, aby uzyskać obecną cenę sżywną) wynosiła od 4 do 40, a w wyniku dotychczas przeprowadzonej regulacji rozpiętość tu uległa zmniejszeniu do granic od 18 do 40. Jedynie w przemyśle energetycznym mnożnik wynosi 11 z uwagi na to, że w tym przemyśle ceny przedwojenne były stosunkowo wysokie.

Zwyżka cen objęta przede wszystkim podstawowe surowce w stosunku do których stosowano uprzednio mnożniki znacznie niższe aniżeli do innych produktów. W rezultacie różnica pomiędzy poziomem sżywnych cen surowców, a ogólnym poziomem cen wolno-rynkowych była bardzo duża.

Rozpoczęto od węgla i koksu w stosunku do których zastosowano nowy cennik od 16.IV. b. r. Dalsza kolejność była następująca: energia elektryczna i drewno — 1.V., artykuły hutnicze i paliwa płynne — 2.V., wyroby papiernicze — 22.V., produkty chemiczne — 31.V. i 14.VI., artykuły przemysłu metalowego — 1.VI.

Stopień zwyżki w zakresie poszczególnych produktów był następujący: węgiel, koks od 75 — 470%, wyroby hutnicze od 100 — 233 proc., wapno — 94 proc., gips — 33 proc., drewno — ca 100 proc., wyroby metalowe od 43 — 133 proc., paliwa płynne — ca 75 proc., artykuły chemiczne — od 25 do 104 proc., energia elektryczna — ca 50 proc.

Na skutek wysokiego stopnia zwyżki ceny sżywne powyższych produktów zbliżyły się nieco do ogólnego poziomu cen wolno-rynkowych, tym niemniej różnica pozostała jeszcze bardzo znaczna.

II.

Celem regulacji płac była jak najbardziej uzasadniona tendencja podniesienia stopy życiowej świata pracy. Mimo pewnych osiągnięć stopa ta jest jeszcze dale-

zodzie okupacji niemieckiej Norwegia ponownie może czerpać korzyści ze swej neutralnej pozycji, pozostając zdala od rozrywek wielkomocarstwowych.

Drugą przyczyną jest konsolidacja wewnętrzna. Wydostawszy się szczęśliwie z wirów międzynarodowej polityki, Norwegia szybko ustabilizowała także i wewnętrzne swoje stosunki, powołując do władzy rząd, oparty o zdecydowaną większość (Partia Pracy). Nazajutrz po wywołaniu można było zatem przystąpić do odbudowy, przy czym jej podjęcie było znacznie ułatwione. Trzecią, korzystną okolicznością, mianowicie przezornością rządu norweskiego, który pozostając przez cały okres emigracji, w najcięższej łączności z krajem, będąc o jego potrzebach dokładnie informowanym, z gó-

leka od poziomu zapewniającego światu pracy pełne warunki rozwojowe.

Oczywiście poziom ten może być osiągnięty tylko w miarę wzrastania dochodu społecznego. Natomiast zbyt szybkie podnoszenie płac, nieproporcjonalne do wzrostu dochodu społecznego dawałoby w rzeczywistości efekty tylko pozorne, nominalnemu bowiem wzrostowi towarzyszyłyby realny spadek poziomu płac. Z całą bezstronnością należy podkreślić, że obecną politykę płac cechuje z jednej strony wyraźna troska o polepszenie bytu warstwy pracowniczej, a z drugiej realizm dostępujący tą politykę do aktualnych warunków gospodarczych.

Regulacja cen ma na celu uregulowanie podstawowych gałęzi gospodarki narodowej, co stanowi kardynalny warunek uchwycenia stanu ogólnej równowagi gospodarczej. W jakim stopniu cel ten został osiągnięty trudno obecnie ocenić z uwagi na to, że akcja regulacji jest jeszcze w toku.

W związku z zagadnieniem zwyżki cen sżywnych wymienionych produktów wyłaniają się dwa zasadnicze problemy:

1) Jak powyższa zwyżka cen sżywnych odbije się na ogólnym poziomie cen wolno-rynkowych. W jakim stopniu ceny te wzrosną i czy nie grozi niebezpieczeństwo, że wzrost cen wolno-rynkowych, silnie wpływających na koszty produkcji przemysłów w stosunku do których zastosowano nowe cenniki, zkompensuje korzyści wynikające ze zwyżki cen czyli zagrozi osiągniętej rentowności.

2) Czy wobec ogólnej zwyżki cen produktów przemysłowych i równoczesnej silnej tendencji spadkowej w zakresie artykułów rolniczych, a w szczególności zbóż, nastąpi nie tyle zwarcie nożyc cen, ile ich odwrócenie w kierunku dla rolnictwa niekorzystnym. Wydaje się, że urzeczywistnienie się takiej ewentualności byłoby wysoce niepożądane z punktu widzenia ogólnogospodarczego, z uwagi na to, że po pierwsze rolnictwo jest względnie małym jednym z najgłówniejszych odbiorców produktów przemysłowych, po drugie, że stan rolnictwa w Polsce i jego zadania nie pozwalają na obciążanie go na rzecz innych dziedzin życia gospodarczego.

III.

Walka o uchwycenie stanu równowagi poprzez rentowność całości gospodarki narodowej została podjęta. Jest to druga faza w naszej polityce gospodarczej, po fazie pierwszej, w której chodziło o osiągnięcie pewnego poziomu produkcji. O ile faza obecna, tak jak faza pierwsza zostanie zakończona powodzeniem, zaistnieją najbardziej istotne warunki dla realizacji planów inwestycyjnych, a następnie dla podniesienia ogólnej stopy życiowej do właściwego poziomu.

K. Pytel

ton. Do 1 kwietnia b. r. udzielono zamówień na dostawę 1.450.000 ton statków w ciągu 5 lat, głównie w Szwecji. Stocznice norweskie mają podnieść swą wydajność roczną z 80.000 ton na 200.000 ton. Ponadto Norwegia otrzymała w drodze reparacji 10% niemieckiej floty handlowej, t. zn. 77.000 ton.

Dalsze pozycje w bilansie strat wojennych, to 100.000 zniszczonych domów, (w 1946 r. przewidziana jest budowa 15.000), utrata w czasie wojny głównych rynków zbytu drewna i celulozy, przy czym wznowienie eksportu tych artykułów jest utrudnione wskutek zagrabienia zapasów przez okupanta niemieckiego, wreszcie szkody, poniesione przez przemysł górniczy, których odrobienie jest hamowane powolnym tempem dostawy sprzętu górniczego z Ameryki. Nic dziwnego, że w tych warunkach w maju 1945 roku wskaźnik ogólnej produkcji przemysłowej wynosił 60 (stan z 1938 r. = 100), produkcji na zapotrzebowanie wewnętrzne 72, a na eksport nawet tylko 35.

Tym wymowniejszy jest rezultat, osiągnięty w rok później, t. zn. w kwietniu 1946, mianowicie podwyższenie ogólnej produkcji przemysłowej do poziomu z 1938 r. Ten wynik globalny został co prawda uzyskany tylko dzięki temu, że niedociągnięcia przemysłów eksportowych, wciąż jeszcze wykazujących wskaźnik 62, zostały skompensowane przez nadwyżkę produkcji na rynek wewnętrzny, wyrażającą się wskaźnikiem 118.

Wzrost produkcji umożliwił zarazem opanowanie ruchu cen. Jeśli, wciąż przyjmując poziom z 1938 r. za 100, koszty utrzymania wyrażały się w maju wskaźnikiem 158, a ceny hurtowe wskaźnikiem 170, to z drugiej strony dochód społeczny za rok 1945/46, szacowany na 7.000 milionów koron, odpowiada w przybliżeniu co do realnej wartości dochodowi społecznemu 4.400 milionów koron z 1938 r. Budżet na rok 1946/47 wykazuje po stronie rozchodów 2.480 milionów koron, w czym 792 miliony na inwestycje (w 1945/46 budżet inwestycyjny wynosił tylko 319 miliony). Wpływy z eksportu są preliminowane na 800 milionów, dochody z floty handlowej na 500 milionów. W maju b. r. awaryj norweskie w dewizach wynosiły 150 milionów dolarów, 66 milionów funtów szterlingów i 55 milionów koron w innych walutach obcych.

Pozytywnym osiągnięciem jest również sytuacja na rynku pracy. Obawy co do bezrobocia w okresie przejściowym po wywołaniu nie sprawdziły się. Stosunki między robotnikami a pracodawcami układają się harmonijnie, podwyżka płac wynosząca 15 óre za godzinę (1 korona norw. = 100 óre) została rozłożona na 3 półroczne etapy, poczynając od września b. r., dzięki czemu udało się w znacznej mierze zneutralizować niebezpieczeństwo jej ewentualnego inflacyjnego oddziaływania. W zakładach, zatrudniających powyżej 20 pracowników, zbierają się co miesiąc komisje mieszane, złożone z przedsiębiorców i przedstawicieli pracowników w celu wspólnego omawiania zagadnień produkcyjnych. Zmianą jest wzrost odsetka robotników, zatrudnionych w przemyśle metalurgicznym, do 42% ogólnej liczby (w roku 1938 — 20%).

Na marginesie obecnych starań w kierunku rozbudowy naszych stosunków gospodarczych ze Skandynawią, warto wspomnieć o ambitnych norweskich planach użytkowania energii wodnej dla wytwarzania prądu elektrycznego, przed wojną bowiem należałoby do najważniejszych dostawców rur do Norwegii. Dotychczas tylko 14% potencjału siły wodnej wykorzystano możliwości inwestycyjnej w tej dziedzinie są więc jeszcze ogromne.

Światowa produkcja ropy. Znany koncern naftowy „Shell” ogłosił niedawno temu swe obliczenia, dotyczące wydobycia ropy w poszczególnych krajach w latach 1938 i 1945 r. Produkcja światowa wzrosła w tym okresie z 280.535.000 ton na 372.003.000 ton. Dane w odniesieniu do głównych producentów są następujące:

	1938	1945
St. Zjednoczone	170.690.000	244.579.000
Wenezuela	28.107.000	47.161.000
Rosja (z uwzględnieniem Sachalinu)	30.112.000	25.500.000
Iran	10.358.000	17.108.000
Meksyk	5.523.000	6.133.000
Rumunia	6.871.000	4.779.000
Irak	4.368.000	4.351.000
Arabia Saudyjska	67.000	2.849.000
Indie Holenderskie	7.394.000	1.359.000

W świetle tych cyfr alarmy części pras amerykańskiej na temat grożącego wyczerpania się pokładów ropy w U. S. A., nie brzmią zbyt przekonująco, przynajmniej na najbliższą przyszłość. Poza Stanami Zjedn., na które przypada największy udział we wzroście produkcji światowej, największe wzmoczenie wydobycia wykazują Wenezuela, Iran, wreszcie — w każdym razie procentowo — Arabia Saudyjska (przeszło czterdziesto-krotnie!). Zaangażowanie, jakim od początku wojny darzy Arabię Saudyjską Ameryka, staje się więc zrozumiałe.

W DRUGĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

dn. 14 sierpnia w wewnętrznej kaplicy O. O. Marianów przy ul. Wileńskiej Nr. 69 o godz. 9.30 zostanie odprawione nabożeństwo żałobne za duszę

s. p.

Haliny z Kopciów Piaseckiej
łączniczki sztabowej plk. „Radosława”

Lato miejskich ludzi (2)

PRZY POMPIE

Pisałem ostatnio o ludziach u źródła wody mineralnej. Dziś, dla odmiany, muzo ma śpiewać o ludziach przy pompie. No bo przecież źródło po tylu latach wlewania się do ludzkich gardzieli i plukania grzesznych cielsk nieco osłabło, nie jest już samoczynne i trzeba pompą ciągnąć zeń wodę. Trzeba też — jak w każdym uzdrowisku — pompować z kuracjuszy nadmiar gotówki. Obie te czynności wymagają ludzi rzutkich, z inicjatywą. Oczywiście — prywatną. A takich u nas nie brak. Oni to ruszyli pierwsi na t. zw. rubież (mocne słowo, prawda?) zachodnie, oni to wbili słupy graniczne w odwieczne, bolesławowe, granice i stanęli mocną stopą. Na czym? To nie jest istotne, proszę nie przeszkadzać!

Sięgnijmy myślą w niedaleką przeszłość. Jadą wozy z szabrem... Aż tu nagle bezlitosna ustawa gnębi odruch wolnej myśli, która chciała zdewastowane przez barbarzyńskiego okupanta tereny Polski centralnej zasilić dobrem nieprzyjacielskim, by przyjąć z doraźną pomocą zgnękaną ludność. Szło to pomyślnie i ci nieszczęśliwi ludzie byli z podziwu godnym samozaparciem zaopatrywani w fortepiany, radioaparaty i ciepłe dessous. Teraz cała ta akcja pomocy została brutalnie stłumiona. Szlafrok cioci Trudy ze Świdnicy, czy fisharmonia wujaszka Wenera z Wrocławia jedynie z mozołem i sporadycznie przedostaje się przez kordonny milicji, strzegącej szlaków komunikacyjnych. Nie należy tego, rzecz jasna, rozumieć zbyt dosłownie. Znasz-li ten kraj? No to sam wiesz przecież, jak to się u nas różne niemożliwe prawnie rzeczy dzieją. „Ja mam swój sposób” — jak to śpiewał w starym filmie francuskim zapomniany Georges Milton.

W każdym razie, te utrudnienia na „pograniczu” poskutkowały tak, że wielu pionierów poczęło się rozglądać za miejscem do stałego osiedlenia. Ja zaś rozglądam się dokładnie za tymi pionierami. Nie chcę tu — podkreślam to specjalnie — wyrządzić krzywdę tym, którzy nie mogą być podciągnięci pod naszkicowane poniżej sylwetki. Nie piszę tu o tych, którym zawdzięczamy, że na ulicach miast śląskich już zanika niemiecka mowa, o tych, którzy tam z oddaniem pracują. Proszę więc nie uogólniać zbyt omyliwie przemyśleń przez mnie typków. Tymczasem jednak pozwolą państwo, że im przedstawę...

...kierownika restauracji zdrojowej. Wiek: około pięćdziesiątki. Włosy: jasne. Przeszłość: ciemna, wiadomo tylko, że przed wojną był młodszym zastępcą starszego referenta w starostwie powiatowym gdzieś koło Lublina. Ma wielkopańskie maniery. Mieszka skromnie — zaledwie siedmiopokojowe mieszkanie, bo późno tu przyjechał. Z jego dawnych, urzędniczych czasów pozostała mu jeszcze tylko niechęć do interesantów, za jakich uważa gości restauracyjnych. Goście są nahałni, gocie grymaszą i zanudzają. Za swoje głupie kilka złotych chcą, aby piwo było zimne, a zupa ciepła.

Na mnie to indywidualizm patrzy krzywym okiem. A przecież siedzę sobie grzecznie pod oknem i nie grymaszę. Raz jeden tylko zwróciłem najuprzejmiej uwagę panu kierownikowi, że trochę nie wypada, jeżeli kelnerka, w oczekiwaniu na dyspozycje, bierze z mego stolika wykałaczki i ze znużeniem dłubie w zębach. Miał do mnie kazania na temat nowych czasów i uszanowania dla człowieka pracy. Co tu dużo gadać — pozował na bojownika postępu. Natomiast na wycieczki z Zagłębia patrzy z obrzydzeniem — sama hołota, tylko wodę z sokiem pijają. Prócz tego hałaśliwie cieszą się życiem. Nie to, co on, który z namaszczeniem pracuje na ten kawałek bułki z łososiem. W tym wyścigu pracy ledwie mu dorównuje inny okaz pioniera...

...łaziebnym z Państwowych Łazienek. Z jego znowu przynależnością narodową, to nie jest taka zupełnie jasna sprawa. Właściwie jest ona najjaśniejsza, ale wtedy, jeżeli się zna jej kulisy. Wtajemniczeni opowiedzieli mi tę historię, którą Wam postaram się wiernie powtórzyć.

Jest on tu na pewnego rodzaju przymsosowym wygnaniu. Pochodzi bowiem z Pabianic, gdzie bez większych wzruszeń podpisał w 1939 roku volkslistę. Synalek — służył swemu Führerowi w SS. Stary też chciał, ale był na to za niski. Służył więc w piechocie, ale go już w 1943 roku zwolniono do domu.

W pamiętnym roku 1945 garnał się znów do polskości, zrzucił z siebie jarzmo narzucone przez germańskich ciemiężycieli. „Rotę” śpiewał z łezką w oku i gorliwością neofity, ale nic nie pomagało — i tak go codziennie ganiano z innymi szwabami do sprzątanía śniegu. Wyciągnął więc, rozgoryczony do głębi, swój przedwojenny paszport polski, schowany „na czarną godzinę” w czasie przyjmowania volkslisty i ruszył z masą ludzką na zachód. W jego domowe ognisko dmuchała tymczasem małżonka — oczywiście tylko w chwilach wolnych od skrobania ziemniaków w pobliskich koszarach.

Tragedię spowodowała właśnie ta rzeczona małżonka. Sąsiadka jej uzyskała mianowicie rehabilitację. Pierwszym objawem jej restytuowanej dumy narodowej było zabranie małżonce naszego łaziebnego rozmaitych gratów, przy akompaniamencie wymyślą od niemieckiego bydia. Ofiarą zaborczości tej Polski na słowo honoru padło wówczas: pięć krzesel, jedno lustro, sowa nadgryziona przez mole, jaśiek w niebieskie paseczki i chustka na głowę w zielone ciapki. Ale krótkie było szczęście nowej posiadaczki tych skarbów; w kilka dni po tej rewindykacji mienia zabranego, otrzymała list: groza wiła z tego listu. List ten, podpisany „Chłopcy z ludu”, domagał się od adresatki natychmiastowego zwrotu zabranych „prawej Polce” rzeczy, wliczając je skrupulatnie, bez pominięcia jaśka (w niebieskie paski) i chusteczki na głowę (w zielone ciapki), jako też nocnego drapieńnika ptasiego w stanie wypchanym i niekompletnym (mole!). List ten przestrzegł również stanowczo przed zawiadomieniem jakichkolwiek władz o całej sprawie. Sankcją karną za niedyskrecję względnie niespełnienie rozkazu miała być śmierć; również i nieletnie potomstwo nieszczęśliwej miało podzielić jej los.

Pierwszym odruchem samoobrony było natychmiastowe zabarykadowanie się nastawianej w jej własnym mieszkaniu, przy czym na barykadę powędrowały wymienione wyżej krzesła i inne sprzęty. Pod wieczór, dozorca domu, zaniepokojony nieobecnością lokatorki, zaczął się dobijać do jej mieszkania. Wtedy dzielna kobieta otworzyła okno na ulicę i zaczęła wzywać pomocy. Nadbiegła milicja i wyjaśnia sprawę na miejscu. Nie potrzeba było nawet robić analizy pisma. Autor anonimu, chłopiec z lasu, czyli żona tu-tejszego łaziebnego, powędrowała na dłuższy czas do kozy.

Nie zachęcało to władce domu do powrotu i tak już został na straży naszych ziem odzyskanych. Odzyskał też swój niemiecki tupet, który dziwnie zgodnie solidaryzuje z zamiłowaniem do bakczynszu. Biada tym, którzy nie odpowiadają jego wymogom w tym względzie. Przyrządzi kąpiel za zmną, albo za gorącą, albo... co tu dużo mówić, repertuar ma bogaty.

Jadą pociągi z repatriantami. Spraw Panie, by przybyli tu ludzie rzetelnej pracy i wyczyszcili tę ziemię z szumowin. Pompa przy zdrowotnym źródle będzie wtedy funkcjonować sprawnie i bez zgrzytów, lecząc nasze ciała i nie drażniąc naszych umysłów.

WILK.

Wśród księzek

Nieudała popularyzacja

Już w okresie między jedną a drugą wojną światową odczuwano mocno potrzebę dobrych dzieł popularnych z dziedziny historii. Po wojnie zapotrzebowanie na dzieła tego typu wobec zniszczeń, poczynionych w naszych księgozbiorach przez okupanta i wobec przemian społecznych, wzrosło niepomernie. Tym samym, każde dzieło popularne z dziedziny historii witamy z zadowoleniem pod warunkiem, by było napisane w opanowaniu i poważnym studium i sumiennie. Z zadowoleniem też przywitałmy wydaną niedawno rozprawę **Dr. Mieczysława Tobiasza** p. t. „Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce”, gdyby odpowiadała postawionym przez nas powyżej warunkom. Niestety, jednak tak nie jest. Wystarczy przeczytać kilkanaście stron, by przekonać się, że autor, mimo dość rozległego czytania, nie zadbał należyście o sumienność i ścisłość swej pracy.

Jest rzeczą niemożliwą w ramach krótkiej recenzji, wymienić niezliczone błędy i omyłki, występujące w tej książce. Są one może w pewnej części błędami drukarskimi, w dużej części jednak są wynikiem niedbałości, czasami braku metody autora. By nie być gołosłownymi podajemy dla przykładu, że zabierając się do scharakteryzowania obyczajów rycerstwa średniowiecznego, oparł się autor na mocno dziś przestarzałym Szajnosze. W konsekwencji na stronie 16 i 17 znajdując się takie błędy: Blanka, żona króla francuskiego Karola IV nie „zginęła marnie w więzieniu”, jak podaje autor, ale ponieważ pozwolono jej zostać zakonnicą, spędziła resztę swych dni w klasztorze. Żona króla francuskiego Filipa V nie nazywała się Jolanta ale Joanna. Minister Filipa IV nie nazywał się Enguerrand de Marigui, jak pisze autor, ale Enguerrand Marygn. Zginął zaś nie z rozkazu króla, jakby wynikało z tekstu książki, ale wbrew jego woli został skazany na śmierć na życzenie możnych seniorów feudalnych. Śmierć jego też przypada nie na rok 1313, jak podaje autor, ale na 1315. (Funck-Brentano: *Le moyen age*, 393 — 399).

Błędy takie jednak spotykamy również i wówczas, gdy autor porusza się na terenie, który powinien mu być lepiej znany, mianowicie na terenie historii polskiej. Z pomiędzy licznych przykładów wybieramy kilka. Tak więc na stronie 112 stwierdza autor, że dzięki unii z Litwą senat powiększył się o 16 wojewodów i 12 kasztelanów. Nieścisłe. Unia powiększyła nasz senat o 13 wojewodów i 14 kasztelanów (Kutrzeba: „Sejm walny w dawnej Rzplitej”, str. 76). Podobnie nieścisłe jest twierdzenie autora, jakoby senat za Stanisława Augusta liczył 457 senatorów. W rzeczywistości senat polski liczył w 1788 r. 153 osoby po pierwszym rozbiore, wskutek zwiększenia liczby kasztelanii — 154 osoby (Kutrzeba: „Sejm walny”, 78). Na stronie 147 wysyła autor Zygmunta III do Kowla, podczas gdy w rzeczywistości jeździł do Rewla. Na stronie 79 każe autor Władysławowi prosić szlachtę o zapłacenie listy królewskiej. Tymczasem w tych czasach nie by-

ło w Polsce żadnej listy królewskiej — o czym autor, jako uczący dawniej w szkole średniej, chyba wiedzieć powinien — a Władysław prosił szlachtę o zapłacenie swego długu.

Autor zdradza jednak podobną ignorancję i innych dziedzinach. Tak więc na stronie 124 podaje jako dowód degeneracji syna Katarzyny Medycejskiej fakt, że umarł na menigitis. Choroba ta jednak, wywoływana zarazkiem chorobotwórczym, występuje czasami w charakterze epidemii wśród dzieci i nie jest objawem degeneracji. Na stronie 115 pisze autor, że jeden senator nazwał szlachtę sujami. Prawdopodobnie miało być szujami. Tymczasem autor objaśnia z powagą: łac. *świnie sues* — świnia. Czyżby autor nie wiedział, że świnia po łacinie znaczy sus, a sues to liczba mnoga?

Jeśli chodzi o tezy autora, to wypowiada on odnośnie do szlachty i magnaterii nie oryginalny, ale słuszny sąd, sąd ujemny, równocześnie jednak zdradza taki brak znajomości procesów historycznych, wypowiada swoje sądy tak mętnie, że i pod tym kątem widzenia książka nie posiada prawie żadnej wartości.

Stwierdzimy wreszcie na końcu, że książka p. Tobiasza jest pisana stylem tak wadliwym, że poszczególne ustępy kwalifikują się jedynie do camera obscura. Wystarczy zacytować takie kwiatki: „Ostatnia wojna, która przewalcowała się po naszych karkach, była sentencją wszystkich win, błędów czy słuszych poczynań dawnej Rzplitej” (Wstęp). „W Polsce drobne mieszczaństwo, pozbawione wielkich tuzów na rzecz szlachty, nie mogło podjąć się z braku kapitałów, stosunków międzynarodowych i szerszego rozwinięcia życia gospodarczego” (strona 52). „Wprowadzić ze względów politycznych można się spierać, czy tak właśnie pomyślana tolerancja i miłość do wszystkich narodów i sąsiadów, cierpiętnictwo narodu, który był Chrystusem innych, miało jakiś sens, to jednak stwierdzić należy, że Rzplita szlachecka postępowąka zgodnie według przyjętej wiary Chrystusowej” (str. 57).

Reasumując musimy stwierdzić. Książka p. Tobiasza zawiera niewątpliwie, mimo wszystko, pewną ilość faktów prawdziwych i wiadomości ścisłych, wobec tego jednak, że przeciętny czytelnik nie może sobie pozwolić na luksus poprawiania na każdym kroku autora, należy przestrzec wszystkie szkoły, czytelnie, uniwersytety wiejskie i robotnicze, by nie kupowały tej książki. I jeszcze jedna uwaga. Pan Tobiasz zapowiada w najbliższej przyszłości wydanie dalszych swoich rozpraw. Mimo tak surowego osądu jego obecnej pracy, nie chcemy go od tego zamiaru odwozcić. Niech jednak nie śpieszy się z ich wydawaniem i niech na miły Bóg postara się napisać je sumiennie i jasnie. Przypuszczamy, że go na to stać. W przeciwnym razie jednak, gdyby te wszystkie książki miały stać na poziomie obecnie wydanej, radzilibyśmy mu z całego serca, by czas, który poświęca na pisanie książek, obrócił na inne pożyteczniejsze zajęcia.

Władysław Czaplinski

Za „Gorący ślad”

Wracamy pełnym gazem do przedwojennych tradycji, najlepiej dokumentując niemieckość ludzkiej natury. Jeszcze nie mamy dostatecznej ilości dobrych książek współczesnych, nie ukazało się jeszcze wiele wartościowych prac, powstałych w czasie wojny, w znikomym stopniu reedytowano klasyków, nie ukazują się jeszcze przekłady, a już zatroszczono się o lekturę, którą ongiś nazywaliśmy (mocno niesłusznie czasami) lekturą dla kucharek, dzisiaj wartoby może raczej nazwać ją lekturą dla wojennych dorobkiewiczów. Pierwszych parę książek zobaczyliśmy już na wystawach, teraz dotarła nas książka Afreda Bronowskiego „Gorący ślad”, wydana przez firmę „AWJR”, znaną skądinąd z doskonałych książek Meissnera i m.tego zbioru Wiecha.

Wydałoby się, iż ostatnia wojna dostarczyła dosyć tematów strasznych, okrutnych, niesamowitych, by w kilka miesięcy po jej zakończeniu trzeba było snuć jeszcze straszniejsze i okrutniejsze fantazje.

Historia podziemnego Berlina, gdzie hitlerowcy przeprowadzają swe dziwne praktyki, a na tym tle przeżycia dwojga młodych Polaków, wywiezionych tam po Powstaniu — oto pokrótce treść tej po-

nurej książki. Jej główną pointą — są lektarskie i pseudo-naukowe praktyki, stosowane rzekomo przez rzekomych uczonych niemieckich. Przez wzgląd na tych wszystkich, którzy rzeczywiście, jak owe „króliki” z Rawensbruck, podlegali „doświadczeniom” uczonych niemieckich — nie trzeba pozwalać swej fantazji aż tak hulać, jak to robi autor „Gorącego śladu”.

Ponadto „Gorący ślad” jako lektura przeznaczona na bardzo szerokie koła czytelników, a więc bardzo mało krytyczne, może u czytelników tego rodzaju wzbudzić o ile nie zachwyty, to w każdym razie dreszcz uznania dla wynalazczości niemieckiej. K.

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży, str. 96, wydanie 1946 — wysyła paczkami po sto egzemplarzy za pobraniem lub po wpłaceniu na konto PKO Nr VII—608 Łódź 1.060 zł (cena hurtowa 10 zł., detaliczna 15 zł plus porto)
ks. dr. Win. Heleńowski
Gostynin, wojew. Warszawskie.

Redaguje: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Kontakt P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dzwignia” Widok 24 B-09660

Odbito w Drukarni „Czytelnik” Nr. 2, Marszałkowska 3-5.

Wydawca: Kolegium redakcyjne.